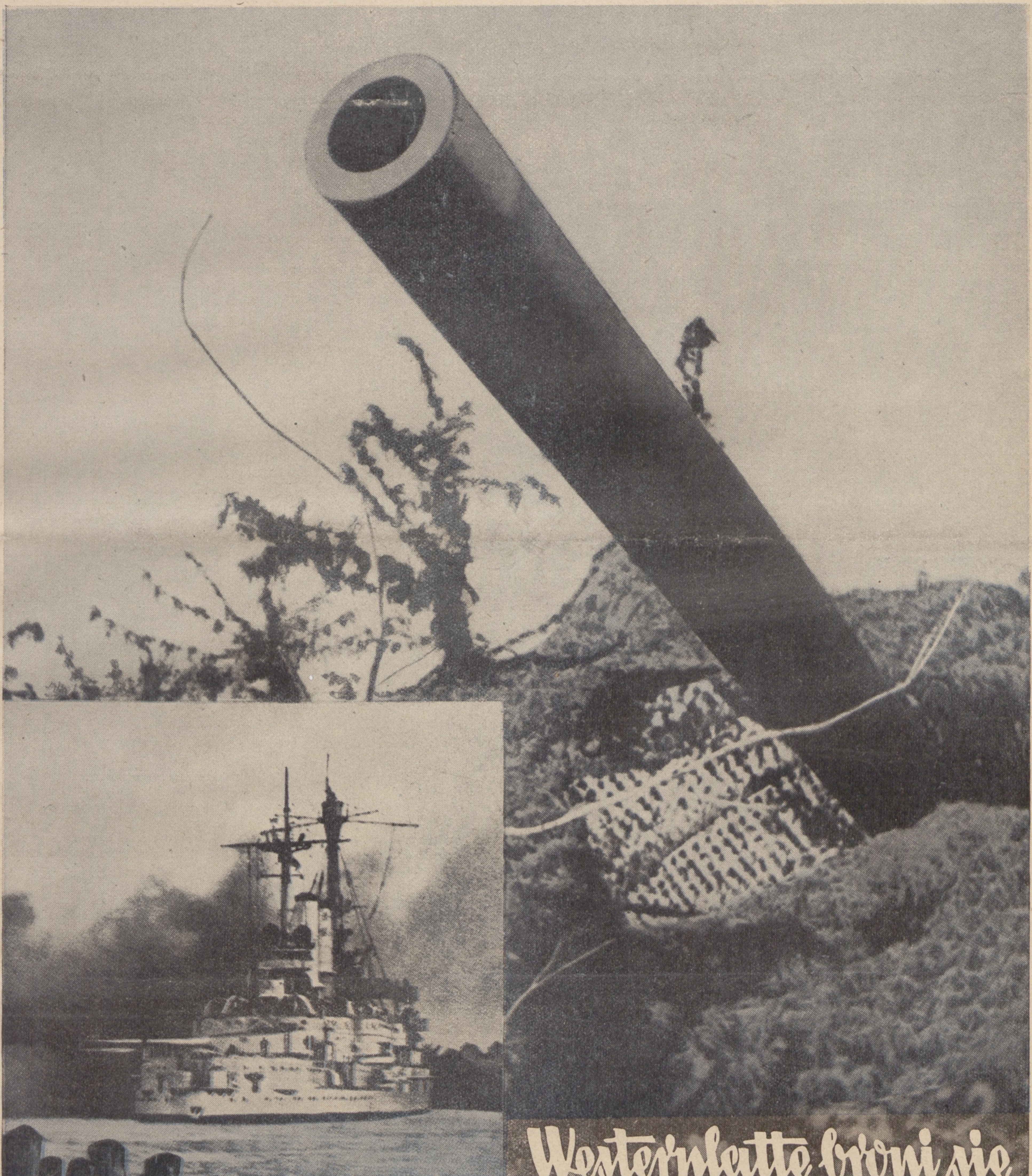
TYDZIEŃ

Nr 9
8.IX.1946 r.

Cena 8 zł

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



Westerplatte broni się

DZISIEJSZY NUMER ZAWIERA: Felieton Jerzego Wyszomirskiego ◆ Artykuły płk. Jerzego Kirchmayera, Adama Rapackiego, Kazimierza Wyrzykowskiego i L. Huczyńskiego ◆ Reportaż i wiersz Jana Brzechwy ◆ Dział informacyjny, gospodarczy, literacki, sportowy ◆ Konkurs fotograficzny i rebusowy.

SPÓŁDZIELCZOŚĆ NA NOWYCH DROGACH

ZASADNICZE ZMIANY

W Polsce przedwrześniowej rola spółdzielczości była głównie społeczno-wychowawcza. Polegała na przygotowaniu kadr pracowników i kadr kontroli społecznej dla przyszłej gospodarki demokratycznej. Teraz jest inaczej. Spółdzielczość jest jednym z trzech podstawowych elementów ustroju demokratycznej gospodarki mieszanej w Polsce.

Pojęcie to oznacza, że ustrój składa się z trzech różnych elementów, mianowicie: z gospodarki państwowej, społecznej i prywatnej, jeżeli pozostawić na boku marginesową rolę gospodarcza samorządu terytorialnego.

A podział pracy narzuca się sam:

Kierownictwo dla państwa, dla spółdzielczości — wykonanie w kręgu spraw jednostki.

KIEROWNICTWO DLA PAŃSTWA

Państwo ludowe jako pracodawca, jako administrator, jako gospodarz najważniejszej, decydującej części gospodarki narodowej, nadaje ogólny kierunek całej gospodarce. Pilnuje w gospodarce najwyższych interesów narodu pracującego jako narodu i jako klasy społecznej.

I po to właśnie dostało państwo ludowe do ręki kluczowe gałęzie gospodarki narodowej.

Decyzje państwa w tych gałęziach są podstawowe dla całej gospodarki. Dla wszystkich form inicjatywy, mniej lub więcej wiążącej wszystkie przedsiębiorstwa gospodarki narodowej. Z grubsza mniej więcej dyktują one całej gospodarce kierunek i tempo rozwoju.

Państwo jako kierownik gospodarki narodowej musi mieć przed oczami program dla całej gospodarki narodowej i ścisły liczbowy plan kluczowej gospodarki państwowej oraz jego kręgosłup.

SPÓŁDZIELCZOŚĆ ORGANIZATOREM INICJATYWY PRACUJĄCYCH I KONTROLEREM „INICJATYWY PRYWATNEJ"

Spółdzielczość w ustroju demokratycznej gospodarki mieszanej oznacza dobrowolne zorganizowanie najważniejszych spraw codziennych człowieka, pracy w ramach ogólnego demokratycznego programu gospodarki narodowej. Oznacza to — po pierwsze — zorganizowanie masowej produkcji indywidualnych gospodarstw chłopskich i warsztatów rzemieślniczych.

Spółdzielczość jest organizatorem indywidualnych gospodarstw pracujących.

W tej dziedzinie, zwłaszcza w rolnictwie, spółdzielczość musi ująć całość gospodarki. Nawet niezbyt silna dywersja kapitalistyczna, czy nawet po prostu anarchiczna — może w nieobliczalny sposób zdezorganizować rynek.

Spółdzielczość ma zorganizować rynek spożywców miejskich i wiejskich. Dziedziny szczególnie ważne dla spożywców, albo dla państwa — musi spółdzielczość objąć sama. Dlatego sięgamy po wyłączność w dziedzinie aprowizacji ludności w artykuły reglamentowane, dlatego podejmujemy się rozdziału ważnych dla państwa artykułów zmonopolizowanych. W pozostałych działach zaopatrzenia spółdzielczość może współpracować z inicjatywą prywatną na zasadzie wolnej i równej konkurencji.

Rola spółdzielczości polega tutaj na kontrolowaniu i regulowaniu w życiu inicjatywy prywatno-kapitalistycznej. Konkurencja społecznego aparatu spółdzielczego zmierza do oczyszczenia rynku z elementów spekulacyjnych i nieudolnych i zmuszenia inicjatywy prywatnej do pracy conajmniej równie pożytecznej dla społeczeństwa, równie taniej, równie sprawnej — jak praca samej spółdzielczości.

Spółdzielczość ma być społecznym kontrolerem i regulatorem inicjatywy kapitalistycznej. Podporządkowuje się automatycznie programowi demokratycznego państwa i potrzebom człowieka pracującego.

PRZEMYSŁ NA DRODZE OD CHŁOPA DO ROBOTNIKA

Nie tylko organizacyjnie ale i gospodarczo — spółdzielczość musi ująć w jednolity, zwarty i konsekwentny system cały aparat zaspokojenia potrzeb pracujących wsi i miast. Musi przede wszystkim objąć kontrolę gospodarczą, całą drogę gospodarczą podstawowych artykułów rolnych od chłopa aż do spożywcy. Droga ta przeważnie prowadzi przez przemysł przetwórczy. Spółdzielczość musi objąć cały przemysł między chłopem a spożywcą miejskim. To jest podstawowe, centralne związanie gospodarcze całego systemu spółdzielczego, które w decydującej części musi się znaleźć w rękach wspólnej centrali gospodarczej. Ustawa styczniowa bardzo trafnie wybrała te gałęzie przemysłu i słusznie przekazała je spółdzielczości.

Spółdzielczość nie jest odrębnym państwem w państwie. Spółdzielczość nie jest przede wszystkim państwem. Jest czynnikiem innym niż państwo i jest czynnikiem innym, niż inicjatywa prywatna. I właśnie dlatego, że jest czym innym, że jest sobą — znalazła miejsce w ustroju gospodarki mieszanej.

„SPOŁEM" PRZODUJE

Rok 1945 był okresem zajmowania przez spółdzielczość właściwej pozycji w gospodarce narodowej. Nie odbywało się to ani łatwo, ani nawet świadomie. W plątaninie pomysłów, koncepcji i eksperymentów samo życie i żywotne potrzeby oddawały w ręce spółdzielczości pozycję po pozycji, aż wreszcie u progu roku 1946 miejsce jej i rola zarysowały się wyraźnie i bezsprzecznie.

Po kolei — świadczenia rzeczowe, aprowizacja miast, monopole, przemysł, akcje interwencyjne na wolnym rynku wchodziły już same — z logiki rozwoju w orbitę spółdzielczości. I wiemy, że inaczej być nie mogło, skoro się raz przyjęło słuszną w polskich warunkach koncepcję demokratycznej gospodarki mieszanej. Nikt inny w tej koncepcji nie mógł tego zrobić.

W okresie zajmowania pozycji musiał przodować Związek „Społem". To nie była ewolucja roczdelska, ale rewolucja społeczna, w dodatku zaczynająca nieomal od zera. Gospodarka narodowa nie mogła czekać na ograniczony rozwój całego ruchu, na samorzutne od dołu pokrywanie się kraju spółdzielniami.

Dlatego najpierw musiał nastąpić okres błyskawicznej budowy szkieletu organizacyjnego Centrali. W ciągu paru miesięcy, w oparciu o kadry przygotowane przed wojną i uzupełnione podczas okupacji — powstało ponad trzysta placówek — oddziałów, okręgów oraz około dwustu zakładów produkcyjnych — dla zaspokojenia najpilniejszych potrzeb i na najbliższy wyrost.

Liczba pracowników rośnie w tym czasie czterokrotnie.

Po tym okresie zdobywania terenu—przyszedł okres porządkowania i rozbudowy działalności gospodarczej. Teraz kolej na rozbudowę samych spółdzielni, powiązanie ich z centralą. To tak prosto wygląda na papierze. W istocie — cała spółdzielczość jest w ciągłym rewolucyjnym ruchu naprzód. Porządkuje się, organizuje zdobyty teren ,a już życie stawia nowe zadania, które musimy brać na siebie, i tak, czy inaczej spełnimy, bo musimy, bo nikt inny tego za nas nie zrobi.

NIE DZIWIĄ NAS NARZEKANIA

Mamy za sobą duży szmat drogi i dużo roboty zrobionej. Ale nie dziwią nas narzekania, które aż za dobrze słyszymy.

Po pierwsze — pracujemy, jak wszyscy, w ciężkich warunkach powojennych, których bolesnej wymowy nie odwróci od razu żadna, najbardziej idealna praca jednej czy choćby wszystkich razem instytucji.

A nasza praca, wiemy o tym, nie jest idealna. Pracujemy w rzeczywistości polskiej i pracownicy „Społem" są zwykłymi ludźmi w tej rzeczywistości. I nas dotykają trudności powojenne — brak transportu i brak fachowców, zła łączność i, choć w mniejszym stopniu, ale przecież powojenna demoralizacja.

Aparat zbudowany w ośmiu miesiącach — nie może być idealny. Nie możemy już po roku pracować bez tarć. Piętnaście tysięcy pracowników zmontowanych wśród powszechnej posuchy — nie mogło w ciągu paru miesięcy stać się od razu fachowcami i idealnymi pracownikami społecznymi zarazem. Nie było czasu na zbieranie opinii, obserwację, praktyki, kursy. Nie od razu można było trzysta z górą placówek objąć dogłębną szczegółową kontrolą. W dwa czy trzy miesiące trudno jest wychować kierowników wielkich organizmów gospodarczych. To raz. Po drugie — w oczach opinii odpowiadamy za winy nie tylko nasze. My stoimy najbliżej człowieka. Taka nasza rola. Stoimy wobec niego na samym końcu długiego łańcucha przyczyn i skutków — win wojny, wyniszczenia, braku doświadczenia młodego aparatu państwowego, którego plany wykonywamy. I na nas przede wszystkim i za wszystko wyładowuje się pierwsze niezadowolenie.

Wreszcie trzecie: nie całą naszą pracę widać ze świata. Duża jej część idzie w fundamenty. Przygotowujemy ludzi i aparat dla przyszłych zadań. Wyniki wielu dzisiejszych prac „Społem" okażą się dopiero w przyszłości.

ZADANIA NAJBLIŻSZEJ PRZYSZŁOŚCI

Przede wszystkim nie skończyła się jeszcze budowa systemu spółdzielczego w gospodarce polskiej. Jedność ruchu nie jest jeszcze pełna. Na wsi trzeba zrealizować zawarte porozumienie ze Zw. Samopomocy Chłopskiej i zespolić ze „Społem" Zrzeszenie Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej. Trzeba uregulować zagadnienia innych, mniejszych central rolniczych. W mieście trzeba włączyć do wspólnego nurtu duży ruch spółdzielni zamkniętych robotników śląskich kopalń, hut i fabryk.

Na rynku miejskim trzeba będzie uregulować ostatecznie stosunek do PCH — i wraz z nią uporządkować nareszcie od strony popytu — zbyt przemysłu państwowego na wolny rynek.

Trzeba będzie dokonać olbrzymiego wysiłku w dziedzinie przemysłu. Przejąć, co ustawa styczniowa słusznie przekazała spółdzielczości. Wraz ze spółdzielniami zorganizować zwarty zespół spółdzielczego przemysłu i w ten sposób zamknąć budowę gospodarczą systemu spółdzielczego. Wraz ze Związkiem Samopomocy Chłopskiej zmierzyć się z wielkim, trudnym i spóźnionym zagadnieniem przemysłu rolnego i zagospodarowania resztówek.

To najważniejsze zagadnienie gospodarcze i ustrojowe.

Adam Rapacki

Z walk wrześniowych nad Narwią (do art. na str. 4-ej)



PLANY I BŁĘDY HITLERA

Nietylko Polska i Polacy byli celem „furii teutońskiej'". Tu chodziło o coś znacznie większego od sprawy polskiej, dla nas — rzecz jasna — najważniejszej. Sprawa polska miała być jedynie przykładem, początkiem i pretekstem do załatwienia przez „wielkiego Adolfa" zagadnień na miarę — jak się wyrażał ów geniusz zniszczenia — tysiąclecia.

Gdyby Rauschning, były prezydent senatu „Wolnego" Miasta Gdańska, wydał swe „Rozmowy z Hitlerem" nie wiosną 1940 r. lecz latem 1939 r. i gdyby ukazały się one nie we Francji, lecz w Polsce — przyjętoby je jako niezręczny kawał, jako „wygłupianie się" polityka, pokłóconego z „führerem". W Polsce wierzono w „wystukane" przepowiednie Wielogłowskiego lub bliżej nieznanych świętych, nigdy by jednak nie uwierzono w suche informacje jakiegoś Rauschninga.

A Rauschning nie bez przerażenia podawał do publicznej wiadomości nie żadne przepowiednie, tylko zimne plany Hitlera, realizowane przezeń systematycznie, konsekwentnie i z uporem. Hitler, dla którego słabość małych państw i narodów była ich grzechem, za które postanowił je ukarać całkowitym pozbawieniem wolności i ujarzmieniem, wypędzeniem za Ural lub wymordowaniem — szedł nie po odbiór niemieckiego Gdańska, jak wierzyła bezkrytyczna większość Francuzów, lecz na podbój świata. Bo w „rozkładzie jazdy" Hitlera znajdowała się Czechosłowacja i Austria (obie wzięte bez walki) i Polska (po walce), Bałkany i Skandynawia i Belgia z Holandią, i Francja i Wielka Brytania i Rosja Sowiecka. Obłęd? — Nie, to dopiero baza do dalszej akcji: do podboju Afryki. Stąd jeden skok do Ameryki Południowej, ta zaś sholdowana bez większych trudności (od czegóż wierni Niemcy w Brazylii i Argentynie), stałaby się odskocznią do ataku na Stany Zjednoczone i Kanadę.

Niemcy chciały wojny i podboju świata, bo zdawało się im na podstawie pewnych objawów, iż „mundus vult decipi" że świat dojrzał już do tego, żeby go chwycić gołą ręką. Monachium obnażyło nie tylko nieprzygotowanie Europy i Stanów Zjednoczonych do wojny, lecz ujawniło chęć skierowania natarcia niemieckiego na Rosję, i niechęć narodów do regulowania spraw zasadniczych z bronią w ręku. Krwawa kąpiel 1914—1918 wycieńczyła Zachod, któremu uczeni niemieccy prorokowali upadek. Różni Abetz'e donosili „wodzowi" o trafności jego diagnozy: Francja jest „zgniła", Belgia skruszała, Jugosławia nie myśli poważnie o oporze. Anglii się bano, ale nie wierzono w jej zdolność zaimprowizowania nowoczesnej armii. W U.S.A. była piąta kolumna i minimalne przygotowanie do wojny. Polskę lekceważono. Rosji nienawidzono i dlatego jej nie doceniano.

Podbój świata się nie udał. Może nie udał się już w tym dniu, w którym Polska pierwsza stawiła opór Hitlerowi, beznadziejny, ale zawsze opór. Niedarmo niemieccy „wehrmachtowcy" stale nam urągali, że gdyby nie nasza postawa z bronią w ręku, nie byłoby „tego nieszczęścia", przez które rozumieli nietylko swe osobiste kłopoty, ale i załamanie się „wspaniałego planu".

Podbój się nie udał także dlatego, że „führer" pomylił się — i to kilkakrotnie. Wtedy, kiedy zamiast na Anglię i Francję uderzył na Polskę, i wtedy, kiedy ruszył na Rosję, nie uporawszy się z Zachodem i wtedy, kiedy chwytał byka rosyjskiego odrazu za dwa rogi (Kaukaz i Stalingrad), i wtedy, kiedy rozpraszał swe wojska od Navrik po El Alamein. Mimo szalonego wysiłku i systematycznego przygotowania Niemcom stale brakowało tchu. Kilkakrotnie mieli ostateczne zwycięstwo w ręku, i zawsze im się wymknęło. Jakieś drobne „coś" stawało im ciągle na przeszkodzie. Jak posiadali czołgi i samoloty, to nie pomyśleli o zimie i mrozie, jak przezwyciężyli skwar pustyni, to im „nawalili" Włosi, jak rozbudowali jednostronne swe myślistwo powietrzne, to je alianci uwikłali w walki z silniejszymi od nich bombowcami, niszczącymi zarazem wytwórnie niemieckich samolotów.



Twierdza Modlin podczas bombardowania niemieckiego

Ale klęska militarna Niemiec, która zburzyła mit o niezwyciężonym „wehrmachcie" i o „nożu w plecy" z 1918 r., jeszcze nie tłumaczy wszystkiego. Niemcy rozpętali nienawiść całego świata, któremu „rasa panów" gotowała nieznaną dotąd niewolę i nieznane sposoby masowego umierania. Niemcy szli na zdobycie świata nie po to, by go zjednoczyć. Oni cel wojny widzieli w wyrżnięciu jednych, ujarzmieniu innych narodów, zagrabieniu ich dóbr materialnych, odarciu z dóbr kulturalnych i wartości moralnych, wymazaniu z mapy świata państw małych i średnich. Podjęli oni walkę nie dla uzyskania przestrzeni życiowej, nie dla zdobycia rynków zbytu czy baz surowcowych, bo jedno i drugie mogli otrzymać drogą pokojową, drogą zabiegów handlowych i przemysłowych. Podjęli tę walkę po to, aby — gdy się nawet nie uda — „tak trzasnąć drzwiami, żeby szyby wyleciały w całej Europie", zniweczyć rozwój młodych i prężnych narodów słowiańskich. Podjęli ją dlatego, że Niemiec nie umie żyć bez mordowania i gwałcenia wolności innych ludów.

Niemcy dwukrotnie poderwały się do wojny o panowanie nad światem. Myliłby się, kto by przypuszczał, iż nie poderwą się po raz trzeci. Ale do tego nie dojdzie, jeżeli zjednoczone w walce o życie i wolność narody, czujne na każdą próbę odwetu, nie załamią solidarnego frontu, nie pójdą na drugie Monachium.

A. Falk

WIECZNE KŁOPOTY NAFTOWE

Pierwsza wojna światowa zwróciła uwagę narodów na doniosłą rolę nafty. Druga wojna światowa dowiodła niezbicie, że kto ma naftę ten jest zwycięzcą, a kto jej nie ma nie może mieć pretensji do rządzenia kontynentami. W. Brytania tracąca coraz bardziej hegemonię na świecie, zarówno pod względem politycznym jak i gospodarczym, czyni wszelkie wysiłki, aby zabezpieczyć sobie źródła ropy naftowej. Odmiennie, jak Stany Zjednoczone A.P. i ZSRR — W. Brytania nie posiadała dotychczas u siebie w kraju kopalń naftowych. Tereny roponośne, znajdujące się pod kontrolą brytyjską, są rozrzucone po całym świecie: na Środkowym Wschodzie w Egipie, w Indiach Brytyjskich, na Borneo i t. p.

Ostatnio W. Brytania przystąpiła do poszukiwań ropy naftowej u siebie na wyspie. Spośród 380 wież wiertniczych, 250 przystąpiło do produkcji. Fachowa prasa brytyjska zapewnia, że w Lincolnshire i w Midlands znajdują się bogate pokłady naftowe.

Już od kilku lat W. Brytania produkuje w kraju nieznaczne ilości ropy naftowej, w ciągu wojny wydobyto zaledwie paręset tysięcy ton ropy, głównie z szybów w Nottinghamshire.

W celu utrzymania krajowej produkcji ropy naftowej na możliwie najwyższym poziomie, czynniki rządowe starają się o zwiększenie wewnętrznej konsumcji nafty. Ministerstwo Opału przystąpiło do szeroko zakrojonej propagandy, zmierzającej do jak najszerszego zastąpienia węgla naftą. Prowadzi się badania geologiczne w południowej Anglii, w Yorkshire oraz w Środkowej Szkocji.

Zarówno w czasie wojny, jak i obecnie wielką trudność w angielskim przemyśle naftowym stanowi brak wykwalifikowanych robotników. Sprowadza się ich dzisiaj aż z Iranu.

Wydobycie nafty w W. Brytanii w ubiegłym roku wynosiło 71542 ton i było niższe od produkcji w latach wojny. (W roku 1937 światowa produkcja ropy naftowej wyniosła 278,6 milj. ton, z czego U.S.A. wydobyło 173 milj., ZSRR — 27,8 milj., Polska — 0,5 milj. ton).

J. J.

Zdjęcie na stronie pierwszej: polskie działo nadbrzeżne i niemiecki pancernik szkolny Schlezwig-Holstein, ostrzeliwujący Westerplatte.

UMIEJĘTNOŚĆ CZYTANIA

Dość popularny był u nas przed wojną przekład pożytecznej książki Dimneta p. t. „Sztuka myślenia". Można się było z niej nauczyć wielu rzeczy: praktycznego rozumowania i wnioskowania, czynienia logicznych a obiektywnych spostrzeżeń tudzież zdrowego stosunku do słowa drukowanego — inaczej mówiąc, z książki Dimneta można było zaczerpnąć wiadomości o tym, jak należy czytać różne gatunki publikacyj, a więc dzieła naukowe i beletrystykę, poezje i artykuły dziennikarskie i t. p. Czytanie bowiem nie polega na tym, że, znając litery, umiemy rozwiązywać wyrazy i zdania, z liter złożone. Czytanie powinno być — nazwijmy rzecz po prostu, rozumowe i pojęciowe: trzeba wniknąć w to, co autor pisze, i rozumieć tak, jak autor pisze. Można się z tym zgodzić lub nie — to inna kwestia. Ale nie wolno zmieniać, przeinaczać i wypaczać sensu, jaki autor nadał swemu utworowi. Rubasznie i nieuczenie, natomiast życiowo mądrze, określił umiejętność czytania jeden z satyryków rosyjskich — Gribojedow: „Czytaj, ale nie jak zakrystian, lecz z czuciem, z myślą, z przestankami" — wiadomo bowiem, że zakrystian czyta mechanicznie, nie zastanawiając się nad tym, co czyta.

Zdaje się, że nierzadko w lekturze bywamy zakrystianami. Przeczytamy coś nie myśląc, a potem zapragniemy o tym dyskutować. Zapomnieliśmy, co powiedział autor, nie przyswoiliśmy sobie jego myśli — i zaczynamy mu przypisywać to, czego w istocie nie powiedział. Przypominam sobie, że w roku zeszłym musiałem polemizować z pewnym poetą — w błahej dla kogoś, lecz dla mnie ważnej sprawie, wiernego odczytania mego tekstu. Ja w artykule napisałem takie zdanie: „Wiele kobiet polskich odznaczało się i odznacza lekkością pojęć w dziedzinie życia miłosnego". Poeta, krytykując mój artykuł, zareplikował: „Nie jest prawdą, że kobiety polskie odznaczają się jakąś specjalną lekkością pojęć w dziedzinie życia miłosnego". Uważny czytelnik dostrzega, że zachodzi zasadnicza różnica pomiędzy „wielu kobietami" a „kobietami polskimi" w ogóle — pomiędzy „lekkością" a „jakąś specjalną lekkością". Poeta, jak widzimy, przeobraził fundamentalnie sens mojej wypowiedzi, mówiąc żartobliwie, wywrócił kota ogonem. Trzeba być czytelnikiem roztropnym i lojalnym, albowiem — jak powiada przysłowie — „littera docet, littera nocet": litera uczy, litera szkodzi.

W Nr. 5 „Tygodnia" z dn. 11 sierpnia umieściłem felieton p. t. „O stosunek do Niemców". Myśl felietonu była taka, że nasz stosunek do Niemców nacechowany jest niejaką dwoistością. Z jednej strony zdarza się, że robimy szabrownicze interesy z Niemcami, że „wybielamy" — jak ów aresztowany prokurator krakowski — rajchsdojczów za grube łapówki, z drugiej strony — pędzimy miotłą małe dzieci niemieckie, żebrzące wciąż jeszcze w wielu miastach na Mazurach i Warmii. Coś tu nie jest w porządku — takie mam przekonanie. I dalej pisałem tak: „Zdrowi i silni Niemcy powinni ciężko pracować. Ale co winne są dzieci? Zapewne najlepiej byłoby wywieźć je do Niemiec. Jeśli się tego nie robi, niedobrze jest, gdy dzieci dziczeją, żyjąc wśród gruzów zniszczonych miast". A dlaczego niedobrze — wyjaśniłem w zakończeniu felietonu, nie sposób powtarzać mi tego. W dwóch więc słowach: niedobrze — dlatego, że niemoralnie: no, bo niemoralnie jest handlować z Niemcem i walić miotłą dziecko niemieckie. Albo — albo. A jeśli walić, to grubego handlarza niemieckiego i bogatego rajchsdojcza — zamiast brać od nich t. zw. forsę.

Po felietonie otrzymałem kilka listów od czytelników i doczekałem się admonicji w „Polsce Zachodniej" — patriotycznym tygodniku, wychodzącym w Poznaniu. Jeśli piszę o tym, to nie dlatego, że chcę polemizować albo reklamować siebie. Nie. Chcę zilustrować na przykładach twierdzenie, że nie wszyscy umiemy odczytywać słowo drukowane. Jedna z moich czytelniczek pisze: „Zgadzam się z panem. Widziałam sama w restauracji, jak gość napluł z całej siły na bułkę i dał ją dziecku niemieckiemu". Oto przykład wnikliwej i lojalnej czytelniczki. Co się tyczy plwacza (z listu wypływa, że był to prawnik i inteligent), przyznajmy, że postąpił po hitlerowsku, czyli jak barbarzyńca. Owszem, wywieźmy wszystkie dzieci niemieckie do Niemiec — jak pisałem. Albo ostatecznie zamknijmy je w obozie, w więzieniu czy gdzieindziej. Ale nie znęcajmy się nad nimi. Bo wiadomą jest rzeczą — jak pisałem — że istnieje „przekleństwo złego czynu": zło musi się wcześniej czy później obrócić przeciwko zło czyniącemu. Tak, zło hitlerowskie obróciło się przeciw hitleryzmowi: upadł on, zmiażdżony jest, starty i ukarany.

Inna moja korespondentka opisuje na sześciu stronach cierpienia, jakie przechodzili Żydzi w ghetcie łódzkim, i stwierdza, że dla Niemców nie może być litości, czy to są dorośli czy dzieci: „dzieci niemieckich nie szkoda". Szkoda, nie szkoda — to sprawa subiektywna. Mnie osobiście szkoda każdego małego dziecka, (bez względu na jego narodowość i pochodzenie), choćby było ono zbrodniarzem. Bo jeśli małe dziecko może dokonać zbrodni, musi być albo dziedzicznie obciążone, albo źle przez dorosłych wychowane, albo nieszczęśliwe: każdy z tych wypadków świadczy właściwie o jego niewinności. Mniejsza z tym jednak. Chodzi o to, co zrobić z dziećmi niemieckimi. I moja korespondentka proponuje: „Wysłać je jak najprędzej, pozbyć się ich". Słusznie. To samo ja pisałem: „najlepiej byłoby wysłać je do Niemiec". Oto więc drugi przykład — czytelnika chaotycznego, który doszedł do tych samych wniosków, co autor, a jednak myśli, że napisał coś nowego i innego.

Trzecim przykładem czytelnika jest „Polska Zachodnia". No, ona to tak, jak ów poeta: całkiem wywraca kota ogonem. „Pan Wyszomirski — pisze — na widok niedorostków niemieckich załamał się nerwowo, proponując, aby ich przytulić do serca polskiego..." I tam dalej. Co za niedorostki? Niedorostki — to łobuziaki kilkunastoletnie, a ja mówiłem o siedmio - ośmiolatkach. Co znowu z nerwami? Ot, zakrystiańskie czytanie. A pochodzi to stąd, że — jako rzecze Goethe: — „wo Begriffe fehlen, da stellt ein Wort sich ein": gdy brak nam w głowie pojęć, podstawiamy na ich miejsce puste słowa. Proszę wybaczyć, że cytuję Niemca, ale Goethego nie będziemy chyba skazywać na całopalenie wedle wzorów hitlerowskich.

Jerzy Wyszomirski

WRZESIEŃ 1939 R.

(ciąg dalszy)

KRYTYCZNE DNI 1—6 WRZEŚNIA

W dniu 1 IX o godzinie 4,45 Niemcy rozpoczęli działania wojenne przeciwko Polsce gwałtownymi nalotami bombowymi. Około godziny 5.00 uderzyło wojsko naziemne. W tym czasie front zachodni jeszcze nie istniał, bo Francja i Anglia wypowiedziały wojnę dopiero 3 IX. Niemiecki wróg miał więc pełną swobodę działania przeciwko Polsce.

Nasze wojsko przyjęło walkę, wyciągnięte w sznurek prawie dokładnie wzdłuż granicy państwowej. W ten sposób doszło do wielkiej **bitwy granicznej,** która trwała od 1 do 3 IX.

Charakterystyczną cechą bitwy było to, że Niemcy uderzyli tylko w niektórych kierunkach, a nie na całym froncie, i dlatego utworzyło się kilka odrębnych ognisk walki, podczas gdy na innych odcinkach frontu panował zupełny spokój.

Z Prus Wschodnich w kierunku na Mławę — Ciechanów uderzyła 3 armia niemiecka (gen. Küchler) z trzykrotną przewagą sił. Nasze stanowiska obronne pod Mławą (20 dyw. piech.) słabo ubezpieczone na skrzydłach przez kawalerię zostały wymanewrowane, a podążająca z pomocą odwodowa dywizja (8 dyw. piech.) została pobita i rozproszona. W dniu 3 IX armia „Modlin" znajdowała się już w chaotycznym odwrocie w kierunku na Modlin i Płock, a wojna zbliżała się stąd wielkimi krokami do Warszawy, zagrażając jej połączeniom z Białymstokiem i Wilnem.

Z niemieckiego Pomorza w kierunku Chojnice — Tuchola — Chełmno uderzyła 4 armia niemiecka (gen Kluge), w której składzie znajdował się korpus pancerno-motorowy gen. Guderiana. Uderzenie to trafiło w lewe skrzydło armii gen. Bortnowskiego rozciągnięte zbyt głęboko w korytarzu pomorskim. Wprawdzie Niemcy nie zdołali uporać się z bohaterską obroną Chojnic, ale w nocy 1/2 IX korpus Gaderiana, prowadzony przez miejscowych volksdeutschów przedostał się przez Bory Tucholskie i odciął część sił polskich. W następnych dniach doszło do zwartej walki, ponieważ odcięte dywizje nie dały za wygraną, lecz usiłowały stworzyć sobie drogę bądź na wschodni brzeg Wisły, bądź też na Bydgoszcz. Udało się to tylko częściowo. W tym pierwszym kotle zniszczona została większa część 9 dywizji piech. (Siedlce), połowa 27 dywizji (Kowel), większość pomorskiej brygady kawalerii oraz kilka samodzielnych batalionów strzelców (1 i 2) i obrony narodowej. Wskutek tego zwycięstwa Niemcy otworzyli sobie połączenia z Prusami Wschodnimi i odcięli polską obronę wybrzeża. Równocześnie w rejonie Grudziądza uderzył niemiecki korpus i toczył zacięty bój z prawym skrzydłem armii „Toruń" (grupa gen. Bołtucia).

W kierunku Wrocław — Warszawa ruszyło lewe skrzydło niemieckiej grupy „Południe". 8 armia (gen. Blaskowitz) uderzyła po osi Wrocław — Łódź i trafiła na armię gen. Rómmla, która właśnie opuściła umocnioną linię Warty i Widawki i szła ku granicy jakby na spotkanie niemieckiego natarcia. Niemiecka przewaga broni pancernej i lotnictwa przechyliła natychmiast szalę wypadków na naszą niekorzyść. Dywizje polskie poniosły dotkliwe straty i zostały odrzucone z powrotem, na swe stanowiska wyjściowe. Jeszcze gorszy był przebieg wypadków w kierunku szosy piotrkowskiej, który wyprowadził nieprzyjaciela wprost na Warszawę. Na tym odcinku uderzyły pancerne i zmotoryzowane dywizje stanowiące lewe skrzydło 10 armii niemieckiej (gen. Reichman). Trafiły one w słabo chroniony styk armii „Łódź" i armii „Kraków", rozerwały go bez trudu i posuwały się szybko na Piotrków opóźniane tylko nalotami naszego nielicznego lotnictwa bombowego. Do dnia 3.IX. niemiecki korpus pancerny posuwający się szosą piotrkowską osiągnął Kamieńsk, zagrażając już rejonowi Piotrkowa i Tomaszowa, w którym dopiero zbierało się prawe skrzydło odwodowej armii gen. Dąb-Biernackiego. W tym samym czasie inne ugrupowanie obskoczyło odosobnioną dywizję piech. broniącą rejonu Częstochowy i zniszczyło ją doszczętnie. Tym sposobem Niemcy wybili nową lukę, przez którą mogli już bez przeszkód posuwać się na Radom i Skarżysko, zagrażając zbierającemu się w tym rejonie lewemu skrzydłu armii odwodowej.

W południowej Polsce uderzyła 14 armia niemiecka (gen. List), i lewe skrzydło 10 armii. Trzonem polskiej obrony była obsada Zagłębia Śląskiego, zaś na pozostałych odcinkach siły były słabe. Niemieckie natarcie ominęło obronę Zagłębia i trafiło w słabe miejsca polskiego ugrupowania, rozcinając je bez trudu. Stało się to na odcinku Zawiercia, Pruczyny i po obydwóch stronach Tatr. Już w drugim dniu wojny gen. Szylling prosił o zezwolenie na wycofanie swojej armii aż na linię Nidy i Dunajca, co oznaczało utratę Katowic i Krakowa. W dniu 3.IX. cała armia „Kraków" znajdowała się w odwrocie.

W tym też dniu Śmigły miał jasny obraz położenia na froncie. Przewaga nieprzyjacielskiego natarcia na ziemi i w powietrzu okazała się duża. Chaos na tyłach wywołany bombardowaniami uniemożliwił wykonanie planowej koncentracji odwodów. Szybkie postępy w kierunku Piotrków—Warszawa zagrażały odcięciem armii gen. Kutrzeby i Bortnowskiego, tkwiących jeszcze w Wielkopolsce i na Pomorzu.

Smigły nie powziął jednak w tym dniu żadnej zasadniczej decyzji, a w szczególności nie nakazał armii „Poznań" i „Toruń" natychmiastowego odwrotu na Warszawę.



Postój czołgów niemieckich na szlaku odwrotu wojsk polskich



Położenie w dniu 6.IX. 1939 r. wieczorem

Jest prawdopodobne, że liczył jeszcze na zatrzymanie niemieckiego natarcia przez armię „Łódź" na linii Warty i Widawki i przez armię odwodową na linii Piotrków — Skarżysko. Jednak armia „Łódź" była już wstrząśnięta, zaś armia odwodowa jeszcze nie gotowa do działania.

Skutkiem tego biernego wyczekiwania doszło w najkrótszym czasie, bo już między 4 a 6.IX. **do rozerwania polskiego frontu** i odcięcia poszczególnych jej części.

Niemiecki wagon pancerny posuwający się szosą piotrkowską rozbił w czasie od 4 do 6 września trzy polskie dywizje (19, 29, 13) z armii odwodowej i osiągnął Tomaszów Mazow. w odległości około 100 km. od Warszawy nie mając już przed sobą żadnego przeciwnika. Droga do stolicy stanęła otworem. Równocześnie obrona armii gen. Rómmla została obalona, a jej szczątki zostały odrzucone na Łódź. W ten sposób Niemcy rozerwali nasz front w samym środku i odsłonili Warszawę w pasie między Bzurą a Pilicą.

Rozerwanie nastąpiło także na naszym prawym skrzydle: 3 armia niemiecka rozwijając powodzenie osiągnięte pod Mławą i Ciechanowem, wyszła bez oporu na przeprawy przez dolną Narew. W nocy 6 na 7 września wskutek chaosu, który ogarnął już polskie dowództwo, Niemcy przekroczyli prawie bez walki Narew pod Rożanem, wbijając się klinem między armią „Modlin" i grupą „Narew".

Także na południu doszło do rozerwania frontu. W dniu 6.IX. niemieckie oddziały pancerne włamały się w rejonie Tarnowa pomiedzy armią „Karpaty" a armię „Kraków".

Dopiero w tym katastrofalnym położeniu Śmigły dał rozkaz ogólnego odwrotu na linię wielkich rzek. Ale decyzja ta była już spóźniona, bo kiedy niemieckie szybkobieżne czołgi były pod Tomaszowem Maz. o 100 km. od Warszawy, to w tym samym czasie armie gen. Kutrzeby i Bortnowskiego były oddalone od Warszawy o 200—300 klm. Wreszcie kiedy Śmigły dawał swym armiom rozkaz odwrotu na linię wielkich rzek, to linia ta była rozerwana na obydwóch skrzydłach — pod Rożanem i Tarnowem — i nie było już sił, ażeby się temu przeciwstawić.

Na dobitek Rydz Śmigły opuścił w nocy 6 na 7 września zagrożoną Warszawę i przeniósł się do Brześcia Lit., skąd nie mógł dowodzić, ponieważ w Brześciu nie rozporządzał wystarczającą siecią łączności. Toteż z chwilą opuszczenia Warszawy przez Śmigłego pękła jednolitość dowodzenia i powstał ogólny chaos. W tych warunkach ostateczna klęska stała się tylko sprawą czasu, a wobec szybkości niemieckiego natarcia czas ten nie mógł już być długi.

Jak widać, krytycznym momentem kampanii stały się dni 5—6 września. Wówczas bowiem zapadło rozstrzygnięcie, a wszystko co się stało później, było już tylko nieuniknionym, logicznym dokończeniem klęski.

C. d. n.

Jerzy Kirchmayer

WALKA O »LEBENSRAUM«



Nie ma socjalistów — gdy Niemcy mówią o agresji

O rewizję zachodnich granic Polski już dziś starają się różne partie niemieckie. Na ich czele kroczą... socjaliści niemieccy z jednym ze swych przywódców Schuhmacherem. Nasuwają nam się w związku z tym ciekawe choć dość odległe reminiscencje. W r. 1914, tuż przed wybuchem wojny, odbywał się w Domu Ludowym w Brukseli międzynarodowy kongres socjalistyczny, w którym wzięli udział również, oczywiście, socjaliści niemieccy. Wojna wisiała na włosku i socjaliści francuscy i niemieccy przyrzekli sobie, iż wszystkimi siłami przeciwstawią się zamiarom wojennym swych rządów. Ledwie członkowie kongresu rozjechali się, gdy wybuchła wojna. Socjaliści francuscy rzeczywiście rozpoczęli działalność antywojenną i w obronie haseł pokojowych zginął zamordowany trybun ludu robotniczego francuskiego Jean Jaurés. Natomiast frakcja parlamentarna socjalistów niemieckich po powrocie do Berlina głosowała za kredytami wojennymi, których Wilhelm II zażądał od parlamentu.

Treviranus, Hitler, czy Schuhmacher byli i są przede wszystkim Niemcami i bez względu na przynależność partyjną będą zawsze potomkami margrabiego Gerona, krwawego kata Słowiańszczyzny i spadkobiercami Fryderyka Wielkiego, którego państwo pruskie złożone było w trzech czwartych z ziem słowiańskich.

DARDANELE

Po raz trzeci na przestrzeni ćwierćwiecza wypływa na arenę międzynarodową kwestia cieśnin tureckich, Bosforu i Dardaneli. Regulowały już tę sprawę traktat w Lozannie w r. 1923: i konwencja w Montreux w roku 1936. Po 10 latach trwania tej konwencji rząd ZSRR domaga się jej rewizji i przystosowania do zmienionych warunków.

Zarówno traktat w Lozannie, jak i konwencja w Montreux podpisane zostały również przez delegatów ZSRR, jakkolwiek traktat z pewnym zastrzeżeniem, łatwo zresztą zrozumiałym. ZSRR był nowym państwem wówczas jeszcze w stadium utrwalenia swej egzystencji w nowej formie ustrojowej. Próby interwencji obcych mocarstw przez lądowania w Archangielsku były jeszcze w zbyt świeżej pamięci, a traktat w Lozannie zezwalał na swobodną żeglugę przez cieśniny tureckie zarówno statkom handlowym, jak i okrętom wojennym w czasie pokoju i podczas wojny. Projekt tak zredagowanego traktatu odstraszył delegację ZSRR, która w końcowej fazie rokowań traktatowych udziału nie wzięła i odmówiła swego podpisu. Podpis pod traktatem złożyli przedstawiciele ZSRR dopiero w miesiąc później i to z zastrzeżeniem.

Jak długo Europa wypoczywała po poprzedniej wojnie, traktat lozański, odbierający Turcji kontrolę nad cieśninami, przekazujący ją komisji międzynarodowej i zezwalający na swobodny ruch okrętów wojennych — mógł wystarczyć i pierwotne obawy rządu ZSRR okazały się płonne. Ale w miarę wzrastania siły państw faszystowskich i potęgowania się nastrojów agresywnych sygnatariusze traktatu lozańskiego uznali, że jednak klauzule traktatu lozańskiego o swobodnej żegludze przez cieśniny i o ich demilitaryzacji mogą się okazać niebezpieczne dla samych państw czarnomorskich przede wszystkim, a w pierwszym rzędzie dla Turcji. Rząd turecki niejednokrotnie zwracał uwagę na to niebezpieczeństwo. W rezultacie wszystkie klauzule traktatu lozańskiego w sprawie cieśnin tureckich poddane zostały rewizji i opracowane na nowo w konwencji, podpisanej w Montreux w r. 1936. Turcji przyznano jedynie prawo kontroli cieśnin i ich ufortyfikowania. Zachowano prawo swobodnej żeglugi dla statków handlowych wszystkich państw, a okrętów wojennych (z pewnymi ograniczeniami) tylko krajów czarnomorskich, zaś okrętów wojennych innych państw z dużymi ograniczeniami tonażu, przy



Mapka cieśniny Dardanelskiej

czym zabroniono przejazdu przez cieśniny okrętom podwodnym państw nie czarnomorskich. Wszystko to w czasie pokoju. W razie wojny, w której Turcja nie brałaby udziału przepływ okrętów wojennych wszystkich państw został konwencją zabroniony. Konwencja podpisana została przez przedstawicieli Wielkiej Brytanii, Francji, ZSRR, Japonii, Turcji, Grecji, Rumunii i Jugosławii. Włochy nie podpisały konwencji, jakkolwiek podpis przedstawiciela Włoch widniał pod traktatem lozańskim.

Wojna spowodowała pewne przesunięcia sił w układzie międzynarodowym, a tym samym europejskim i w układzie państw czarnomorskich. Rząd ZSRR uznał, że korka od cieśnin tureckich nie można pozostawić w rękach samych Turków, ale że powinien się on znajdować pod kontrolą wszystkich krajów czarnomorskich z wykluczeniem innych państw. Ponadto rząd ZSRR doszedł do przekonania, że Turcja nie potrafi skutecznie obronić cieśnin, a w takim razie bezpieczeństwo państw czarnomorskich jest problematyczne. Rząd ZSRR zaproponował przeto w nocie do rządu tureckiego i rządów innych sygnatariuszy konwencji w Montreux dzielenie gwarancji bezpieczeństwa cieśnin pospołu z rządem tureckim przez założenie w rejonie cieśnin baz wojskowych.

Nie można ukryć faktu, że taka propozycja rządu ZSRR stawia w nowym świetle całe zagadnienie basenu Morza Czarnego, cieśnin tureckich i Morza Śródziemnego. Oczywiście, najbardziej miarodajne będą — oprócz oświadczeń stron bezpośrednio zainteresowanych, ZSRR i Turcji — oświadczenia rządów brytyjskiego i Stanów Zjednoczonych A. P.

Wielka Brytania zyskała: rozbicie imperium włoskiego i zniszczenie floty włoskiej, jak również wielkie osłabienie pozycji Francji na Morzu Śródziemnym. W tej chwili Anglia czuje się niepodzielnym władcą na tym morzu, przez które prowadzi najbardziej żywotna arteria komunikacyjna Imperium Brytyjskiego i nie zechce wystawiać na niepewne flukty przyszłego układu sił w tym rejonie bezpieczeństwa Suezu.

Po poprzedniej wojnie Stany Zjednoczone zasklepiły się w ciasnej doktrynie izolacjonistycznej. Nawrót do polityki interwencjonalistycznej i udział w wojnie w charakterze decydującego współpartnera, wejście do Obozu Narodów Zjednoczonych i kierownicza rola, jaką z innymi wielkimi mocarstwami przedstawiciele Stanów Zjednoczonych w tej organizacji odgrywają, nakłada na rząd amerykański pewne obowiązki. Szczególne zainteresowanie rząd Stanów Zjednoczonych zwrócił w kierunku Srodkowego i Bliskiego Wschodu, gdzie dotychczas dominowały wpływy brytyjskie. Ekspansja amerykańska na Bliskim i Srodkowym Wschodzie nosi w pierwszym rzędzie charakter gospodarczy, a rozciąga się od Iranu aż po Abisynię, skąd Amerykanie usunęli wpływy brytyjskie. Również import towarów amerykańskich do innych krajów w tym rejonie nabiera rozmachu.

Miarę penetracji amerykańskiej w rejon wschodu arabskiego stanowi jednak nabycie przez spółki amerykańskie koncesji naftowych w Saudii na półwyspie Arabskim. Fakt uzyskania tych koncesji przez Amerykanów, a nie przez Anglików wywołał w całym świecie dużą sensację przed dwoma laty. Nie ulega wątpliwości, że dużą rolę odegrały tu obawy króla Saudii, Ibn Sauda przed penetracją angielską.



Wioska turecka w pobliżu cieśniny Dardanelskiej

Penetracja gospodarcza amerykańska w rejonie Bliskiego i Srodkowego Wschodu nakłada na rząd Stanów Zjednoczonych pewne obowiązki natury politycznej. Wydobywana nafta w głębi półwyspu Arabskiego, zmusza Stany Zjednoczone do interesowania się zagadnieniami wschodnich wybrzeży Morza Śródziemnego a tym samym i cieśnin tureckich.

Rozgrywka o kontrolę nad cieśninami tureckimi zapowiada się bardzo ciekawie. Z jednej bowiem strony rząd ZSRR będzie dążyć wszelkimi siłami do uzyskania wyjścia z zamkniętego Morza Czarnego na Morze Śródziemne, z drugiej strony Turcja bronić będzie swej pozycji gospodarza nad Dardanelami, licząc na poparcie Anglii i Ameryki, które posiadają swe własne żywotne interesy we wschodniej części Morza Śródziemnego. Do rozgrywki wciągnięta zostanie również Grecja, pozostająca pod silnymi wpływami Wielkiej Brytanii.

Leon Huczyński

JAK GENERAŁ RYDZ-ŚMIGŁY ZOSTAŁ MARSZAŁKIEM

(dalszy ciąg artykułu z numeru siódmego)

II.

Pierwsze dni po zgonie marszałka Piłsudskiego wypełnione były przygotowaniami do uroczystego pogrzebu. Zarówno prezydent Mościcki, który wreszcie, poczuł się głową państwa, jak premier Sławek, który od tej pory musiał w wypadkach ważnych naradzać się z Zamkiem oraz nowy wódz naczelny, gen. Rydz-Śmigły, w pierwszych dniach swej nowej roli, pochłonięci byli myślami o pogrzebie zmarłego dyktatora. Postanowiono uczynić wszystko, aby pogrzeb był pełen blasku. Miał to być nie tylko akt uczczenia zasług zmarłego, ale zarazem manifestacja siły obozu piłsudczyków wobec zagranicznych dostojników i narodu. Chciano pokazać społeczeństwu ,a przede wszystkim opozycji, że mimo zgonu marszałka Piłsudskiego, obóz jego jest nadal zwarty, jednolity i silny i że żadna siła nie odbierze mu władzy w Polsce.

Gdy wreszcie uroczystości pogrzebowe zakończyły się, nowi władcy wrócili do swej codziennej roli. Zamek ożywił się — szereg ludzi, którzy zrozumieli, że skończyła się kłopotliwa rola Ignacego Posłusznego, a rozpocznie się era Ignacego Rządzącego, próbowała nawiązać kontakt z ludźmi z Zamku. Przede wszystkim ruszyły się żony różnych polityków i dygnitarzy sanacyjnych, by zyskać sympatie bardzo ruchliwej i czynnej pani prezydentowej. Były to pierwsze oznaki nawiązywania kontaktu i stosunków z Zamkiem.

Jednakże góra piłsudczyków trzymała się wobec Zamku w rezerwie. Premier Sławek żelazną ręką kierował obozem sanacyjnym, podtrzymując legendę, że jemu zmarły marszałek powierzył rady i wskazówki według których Polska powinna być rządzona, zaś gen. Rydz-Śmigły jako nowy naczelny wódz, rozglądał się w sile i wyposażeniu armii.

Dość szybko doszedł do pesymistycznych wniosków, bowiem w jednej ze swych pierwszych mów tak mniej więcej oświadczył:

— „Z troską i niepokojem patrzę na wielkie zbrojenia naszych zachodnich i wschodnich sąsiadów. Jesteśmy spóźnieni..."

Nie wszyscy piłsudczycy powitali to oświadczenie z uznaniem. Sławek, który uważał się za stróża legendy o marszałku, uznał to za krytykę działalności wojskowej zmarłego wodza. Nowa niechęć narosła między Rydzem- Śmigłym, a Sławkiem. W przyszłości została ona wygrana przez Zamek.

Czy oświadczenie Rydza-Śmigłego odsłaniające słabość armii polskiej, było krytyką działalności wojskowej Piłsudskiego? Nie. Nigdyby Rydz-Śmigły, który całą swą dotychczasową karierę wojskową zawdzięczał Piłsudskiemu, nie odważył się na krytykę. Wypowiadając ten osąd o armii polskiej, tworzył dla siebie alibi przed społeczeństwem i historią: — patrzcie, co odziedziczyłem, toteż w swoich sądach o mnie weźcie to pod uwagę...

Istotnie. Stan ówczesnej armii polskiej był rozpaczliwy. Piękna postawa i prezentacja pułków, szczególnie kawaleryjskich, nie mogła zasłonić prawdy: była to armia, jeśli chodzi o uzbrojenie nowoczesna, wstrzymana w swym rozwoju. Ze słabą artylerią, prawie bez lotnictwa i broni pancernej.

Toteż oświadczenie gen. Rydza-Śmigłego było pośrednio krytyką tego, co się w armii działo za czasów Piłsudskiego. Czy jednak gen. Rydz-Śmigły spowodował nagły zwrot w uzbrojeniu i szkoleniu armii? Czy dopasował korpus oficerski i podoficerski do stworzenia nowoczesnych rodzajów broni?

Na to trzeba było dużych pieniędzy, a minister skarbu Zawadzki nie mógł sobie dać rady ze zwykłymi wydatkami. Zapasy złota i walut malały, groziła nowa inflancja złotego. Gdy wreszcie sytuacja stała się groźna, minister Zawadzki oświadczył Sławkowi, że prosi o dymisję. Wprawdzie Sławek próbował przekonać min. Zawadzkiego, że nie wolno mu w tej sytuacji opuszczać placówki, ale prośba nie dała rezultatu. Trzeba było szukać nowego ministra skarbu. Rad nie rad, premier Sławek udał się na Zamek.

— Panie prezydencie — oświadczył — mam kłopot z ministrem skarbu. Zawadzki podał się do dymisji...

— Niech się pan, panie premierze tym nie przejmuje — odpowiedział prezydent Mościcki. Mam kandydata na ministra skarbu, który da sobie radę z nowymi kłopotami finansowymi.

Zaskoczony tym oświadczeniem Mościckiego, któremu nadarzyła się okazja do odegrania roli głowy państwa, skonfudowany Sławek zapytał:

— Może pan prezydent wymienić nazwisko?

— Inżynier Eugeniusz Kwiatkowski, b. minister przemysłu i handlu w gabinecie premiera Bartla.

Gdy padło nazwisko inż. Kwiatkowskiego, Sławek zrozumiał, że prezydent pragnie wprowadzić do gabinetu swego człowieka. Publiczną było tajemnicą, że inż. Kwiatkowski był zaufanym mężem prezydenta Mościckiego. Pracowali razem w Chorzowie. Mościcki spowodował mianowanie go ministrem przemysłu i handlu. Kwiatkowski budował według jego wskazań Gdynię i Mościce, oparte na patentach Ignacego Mościckiego. Opuścił rządy pomajowe, gdy słynna grupa pułkowników, zyskawszy zaufanie w Belwederze, opanowała rządy i usuwała ludzi Mościckiego.

— Nie mógłbym pracować z inż. Kwiatkowskim — próbuje tłumaczyć Sławek. Zbyt duża różnica poglądów...

— Ja jednak mam duże zaufanie do inż. Kwiatkowskiego. Jego ostatnia książka o niedomaganiach gospodarczych trafia mi do przekonania. Da on sobie radę z naszymi kłopotami gospodarczymi i finansowymi. To właściwy człowiek...

Czy pan prezydent podtrzymuje kandydaturę inż. Kwiatkowskiego na ministra skarbu? — pyta powtórnie Sławek.

— Na ministra skarbu i wicepremiera — precyzuje Mościcki. Sytuacja gospodarcza i finansowa jest tak poważna, że trzeba pomyśleć o nadzwyczajnych środkach. I ja muszę osobiście zająć się tymi sprawami...

— Panie prezydencie — odpowiada zaskoczony Sławek — jest to właściwie gruntowna zmiana w gabinecie. Najlepiej, gdy i ja z całym rządem podam się do dymisji.

Cała ta rozmowa zakończyła się dymisją Sławka i jego gabinetu. Mościcki po raz pierwszy mógł sformować posłuszny sobie rząd. Mógł, a jednak nie było to zadanie łatwe.

— Dlaczego?

Jak już pisaliśmy, Mościcki, poza rodziną Piłsudskich, nie miał żadnego oparcia w obozie piłsudczyków. Po śmierci dyktatora mógł liczyć tylko na panią Aleksandrę Piłsudską. Grupy Walerego Sławka oraz Rydza-Śmigłego i Miedzińskiego odnosiły się do niego nieufnie a właściwie każda z nich pretendowała do rządów w Polsce. To był jeden z powodów, który utrudniał Mościckiemu sformowanie nowego rządu. Tym bardziej, że przynajmniej premierostwo powinien był objąć piłsudczyk. Nie do pomyślenia wówczas było, aby premierem mógł zostać bezpartyjny.

Mościcki nie miał takiego człowieka, a Sławek obrażony na prezydenta, nie chciał dać żadnego ze swego grona. Natomiast grupa Śmigłego i Miedzińskiego postawiła ciężkie warunki: 1) Rydz Śmigły ma być mianowany marszałkiem, 2) po skończonej kadencji Mościckiego gen. Rydz-Smigły będzie wysunięty jako kandydat na prezydenta państwa. Warunki te dla Mościckiego były ciężkie, szczególnie drugi, marzył on bowiem, że zostanie prezydentem po raz trzeci.

Sytuacja, istotnie, była dla niego b. ciężka, wobec tego zwrócił się o pomoc do pani Aleksandry Piłsudskiej. Ta odwdzięczając się za pomoc w przeszłości, znalazła radę. Namówiła ówczesnego prezydenta Warszawy, majora Zyndram-Kościałkowskiego, na podjęcie się misji utworzenia nowego rządu. Gdy znalazł się piłsudczyk na premiera, łatwo już było uformować nowy gabinet. Widomą jego głową został Marian Zyndram-Kościałkowski, człowiek mało energiczny i o miernych zdolnościach; zastępcą jego a zarazem ministrem skarbu mianowano Eugeniusza Kwiatkowskiego, tytana pracy. Był to właściwie jeden minister w nowym gabinecie całkowicie lojalny wobec prezydenta. Na Kościałkowskiego, który ulegał różnym wpływom, nie mógł Mościcki liczyć, również inni ministrowie raczej podlegali wpływom grupy Śmigłego i Miedzińskiego niż prezydentowi.

Paromiesięczne rządy tego nowego gabinetu zakończyły się nowym przesileniem, podczas którego grupa Śmigłego-Rydza podyktowała Mościckiemu swoje postulaty. O tym w następnym numerze.

J. Kiełczewski



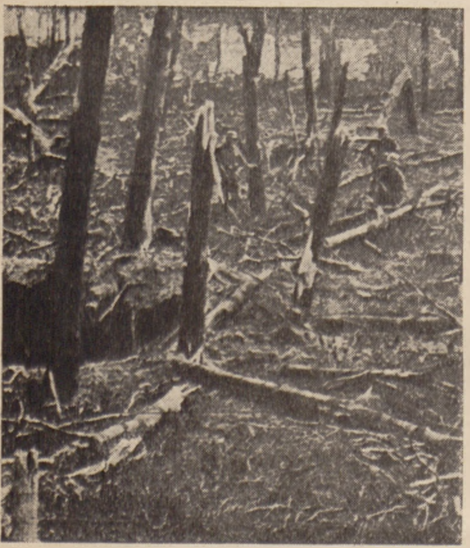
Westerplatte w ogniu



Niemiecka marynarka z okien kamienic ostrzeliwuje Westerplatte



Pracownicy Poczty Polskiej skazani na śmierć przez gen. Eberhardta



Zniszczony las na przedpolu Westerplatte



Usuwanie skrzynek Poczty Polskiej w Gdańsku

OBRONA WESTERPLATTE

Poniżej zamieszczamy relację obrońcy Westerplatte majora Sucharskiego, zamieszczonej w swoim czasie w gazetce obozowej Oflagu II B w Arnswalde.

— Przy Wisłoujściu czuwała straż — opowiada major Sucharski — stan załogi po jej wzmocnieniu wynosił 5 oficerów, 175 szeregowych, 22 funkcjonariuszy cywilnych. Wiosna i lato 1939 r. zostały wykorzystane do przeprowadzenia najniezbędniejszych umocnień polowych. Od 25 sierpnia 1939 roku, t.j. od chwili przybycia niemieckiego okrętu liniowego „Schlezwig Holstein" stan pogotowia załogi Westerplatte został zaostrzony. Od zmroku do świtu 1/3 załogi zajmowała wraz ze sprzętem stanowiska bojowe w terenie. Piękny wieczór dnia 31 sierpnia nie różnił się niczym od poprzednich. Patrole i ronty krążące w ciągu nocy w terenie nie zameldowały nic oprócz tego, że kanał portu jest wyjątkowo pusty, a w całym porcie panuje jakaś niesamowita cisza. Mimo to nikt nie przeczuwał takiej pobudki jaka nastąpiła nazajutrz t. j. dnia 1 września 1939 r. o godzinie 4.40. W tej bowiem chwili zabrzęczały szyby w koszarach od ognia ciężkich dział pancernika Schlezwig-Holstein, który znajdował się w kanale portowym w odległości około 600 m od nas. Alarm odbywał się już przy graniu naszych maszynek ze stanowisk polowych i wartowni. Za chwilę meldunek od dowódcy odcinka wschodniego wyjaśnił sytuację. Nieprzyjaciel wysadził w powietrze bramę kolejową i mur obok niej i przez tę wyrwę wdarł się na nasz teren. Zaskoczony ogniem broni maszynowej, której obecności w tym miejscu widocznie się nie spodziewał, począł się wycofywać na swoje stanowiska wyjściowe, ponosząc przy tym znaczne straty w zabitych i rannych. Tak mniej więcej zaczęło się na Westerplatte. Ogień z pancernika wzmógł się niebawem.

Ze spichlerzy i wszystkich wysokich budynków po drugiej stronie kanału odezwały się niemieckie karabiny maszynowe. Część z nich została zniszczona ogniem naszej jedynej trzycalówki, która niestety, po oddaniu około 30 strzałów musiała zamilknąć, trafiona pociskiem nieprzyjaciela. Dzielna obsługa działa została bez sprzętu. Prócz karabinów maszynowych pozostały nam tylko cztery sztokesy, których ogień zlikwidował ostateczne natarcie nieprzyjaciela. Jednak nasza linia obronna, wysunięta ku wschodniemu skrajowi Westerplatte — musiała być na skutek ognia ciężkiej artylerii okrętowej opuszczona. Załoga jej wycofała się na rozkaz na linie umocnionych wartowni. Straty własne nieznaczne: trzech zabitych i czterech rannych. Reszta dnia przeszła względnie spokojnie. Próby nocnych natarć i wypadów nieprzyjaciela zostały łatwo zlikwidowane, przy czym Niemcy mocno dostali po skórze.

Dzień 2 września do godz. 17 przeszedł bez szczególnych wydarzeń. Do ostrzeliwania bowem artylerii zdołaliśmy już przywyknąć. O godz. 17 nadleciały na nasz teren nieprzyjacielskie eskadry bombardujące. Przestrzeń około 50 ha bombardowało 47 samolotów przez pół godziny. Na Westerplatte sypał się dosłownie grad bomb różnego kalibru od 2 do 500 kg. Dopiero zmierzch przerwał to piekielne bombardowanie. Górna kondygnacja koszar w ruinie. Brak wartowni Nr 5 zrównanej dosłownie z powierzchnią ziemi, a bohaterska jej załoga znalazła swój grób w ruinach. Łączność telefoniczna i sygnalizacja świetlna zniszczona. Radiostacja uszkodzona i nie do użytku. Na przedpolu pożar poszycia leśnego i siana. Kuchnia zniszczona, piekarnia uszkodzona, wodociągi i kanalizacja rozbite. Jednym słowem obronność umocnień stałych i koszar nieprzystosowanych do tak silnego bombardowania mocno nadwyrężona.

W tym stanie poleciłem spalić szyfry i dokumenty. Łączność telefoniczna zniszczona za dnia, musiała być improwizowana w nocy, i tak było przez cały czas. Krytycznym okresem po tym bombardowaniu były dwie pierwsze godziny. Po ich upływie byliśmy już jednak gotowi do dalszej obrony. Gdyby natarcie niemieckie wyruszyło natychmiast po bombardowaniu sytuacja byłaby nie do utrzymania. Nie mogę zrozumieć dlaczego natarcie nieprzyjaciela wyszło dopiero w pięć godzin później. Zostało ono odparte krwawo dla niespodziewających się oporu Niemców. Teren był usłany trupami wyborowej piechoty SS.

Codzienne ostrzeliwanie działami okrętowymi i artylerią z lądu trwało po kilka godzin. Szczerbiło ono nasze już nadwyrężone mocno mury i niszczyło ubogi sprzęt ogniowy. Na stanowiskach trwali jedni i ci sami ludzie. Byli oni już u kresu swych sił fizycznych. Stan moralny załogi przez cały ten czas był wspaniały.. Wszystkie też natarcia w ciągu tych siedmiu dni i nocy, a było ich około trzynastu, zostały odparte z poważnymi stratami nieprzyjaciela.

Kiedy jednak w siódmym dniu walki została zburzona ogniem ciężkich moździerzy wartownia Nr 2, a inne były również mocno nadwyrężone — stało się dla nas jasne, że opór nasz dobiega końca. Nasi ciężko ranni, których część została zabita odłamkami artyleryjskimi, nie mieli potrzebnej pomocy poza prowizorycznymi zabiegami na punkcie opatrunkowym. Położenie w kraju, o którym mimo uszkodzenia radiostacji, częściowo dowiedzieliśmy się, wykluczało możliwość zmiany naszego położenia na lepsze. Powziąłem więc w dniu 7 września około godz. 10.15 najsmutniejszą w mym życiu decyzję — kapitulować. Zawiadomiwszy o tym załogę, oddałem cześć naszym poległym i podziękowałem żyjącym za wspaniałą postawę. Tragizm tej chwili nie osłodziły nam, rzecz prosta, gratulacje dowódców niemieckich ani pozostawienie mi w uznaniu dzielnej obrony — szabli przez dowodzącego w Gdańsku gen. Eberhardta".

J. J.

PIERWSZY PŁOMIENNY PROTEST

Kiedy 1 września 1939 r. fala hitlerowskiego żołdactwa wtargnęła do Gdańska, jedną z pierwszych przeszkód, która przez cały dzień wstrzymywała zwycięski pochód najeźdźców — był gmach Poczty Polskiej. Urząd ten nie był włączony w system obronny Westerplatte, lecz trwał samotnie na straży polskości w samym środku „niemieckiego" miasta.

W momencie, gdy wrześniowego poranka zabrzmiały na ulicach pierwsze strzały, 70 funkcjonariuszów Poczty Polskiej przedzierzgnęło budynek urzędu w improwizowaną twierdzę. Zabarykadowano bramę i wejścia, otwarto ogień do zbliżającego się nieprzyjaciela.

Garstka pocztowców, urzędników i listonoszów, broniła się rozpaczliwie przez cały dzień. Pomoc nie mogła nadejść znikąd. Maleńki garnizon Westerplatte sam odpierał już ataki wroga

POCZTA WALCZYŁA W ODOSOBNIENIU

Pierwszy atak piechoty niemieckiej odparto ogniem broni ręcznej i maszynowej oraz granatami ręcznymi. Wróg cofnął się, pozostawiając na placu przed Pocztą kilkudziesięciu zabitych i rannych. W polskich szeregach również powstają luki — pada śmiertelnie raniony odłamkiem własnoręcznie rzuconego granatu dowódca załogi, znany jedynie z pseudonimu „Konrad". Miejsce jego zajął podreferendarz pocztowy Flisikowski.

Około godziny 10-ej — nowy atak niemiecki. Tym razem przy użyciu czołgów i aut pancernych. I tym razem załamuje się on w ogniu mężnej załogi polskiej. Przykładem odwagi zabłysili wtedy Alojzy Franz i Franciszek Miąskowski, obsługujący karabiny maszynowe. Po południu przypuścili Niemcy trzeci szturm, ostrzeliwując Pocztę bezpośrednim ogniem artyleryjskim z długości 50 metrów. Frontowa ściana gmachu uległa niemal całkowitemu zniszczeniu. Bohaterscy obrońcy wycofali się do piwnic, wgryźli w rumowisko i walczyli dalej. Wobec tego bezprzykładnego męstwa nieprzyjaciel zastosował bestialski środek: ogień. Przy pomocy sikawek oblano gmach benzyną i podpalono miotaczami płomieni.

KAPITULACJA I ZBRODNIE

Około godz. 19-ej obrońcy wywiesili białą flagę. W tymże niemal momencie giną jeszcze: dyrektor okręgu Poczt, dr. Jan Michoń i naczelnik urzędu gdańskiego, Józef Wąsik. Z rękoma splecionymi na obnażonych głowach wyszło z ruin... 38 pozostałych przy życiu pocztowców w przekonaniu, że odwagą swoją zasłużyli na żołnierskie traktowanie. Jakże się pomylili. Obchodzono się z nimi jak z bandytami, bito, pastwiono się. Dowódca niemieckich sił lądowych w Gdańsku, t. zw. „heimwehry", generał - major SS Eberhardt nie uznał pocztowców za kombatantów i oddał ich dnia 2 października pod sąd dywizyjny. Skazani zostali wszyscy na karę śmierci w trybie doraźnym i dnia 5.X. rozstrzelani na Zaspie pod Wrzeszczem. Ich kat — Eberhardt — wydał rozkaz, by śladu nie zostało po mogiłach. Salwa karabinów maszynowych zakończyła bohaterską epopeę obrońców Poczty Polskiej w Gdańsku, którzy pierwsi swoim czynem zbrojnym zaprotestowali przeciwko niewoli, przeciw bestialstwu i faszyzmowi.

MORDERCA POCZTOWCÓW MUSI BYĆ UKARANY

Gdy dziś składamy hołd bohaterom, nie zapominajmy o jednym. Któraś z ajencji prasowych podała wiadomość, iż generał SS Eberhardt znajduje się w brytyjskim obozie jeńców wojennych w Belgii. Eberhardt musi być wydany Polsce.

Władysław Orłowski



Mimo, że umilkły strzały, napastnik bał się wkroczyć na teren Westerplatte



Grupa wziętych do niewoli polskich obrońców poczty, którzy zostali rozstrzelani



Gen. major Eberhardt, komendant jednostek gdańskich, oprawca Polaków, który niebawem stanie przed sądem polskim



Usunięcie szlabanu na granicy polskiej



Samochód pancerny SS. przed gmachem Poczty Polskiej

(Zdjęcia ze zbiorów dyr. Klimaszewskiego)

NAD BŁĘKITNĄ NARWIĄ

Podobno przechodzimy wciąż w Polsce rewolucję. Tak twierdzą publicyści. Jedni z nich (np. Jerzy Borejsza) określają ją jako „rewolucję łagodną". Inni (np. Adam Rapacki) nazywają ją „rewolucją integralną" czyli obejmującą wszystkie dziedziny życia: polityczną, społeczną, gospodarczą, umysłową, kulturalną, obyczajową, moralną itd. Ciekawe jest, że rewolucji takiej brak — zdaniem moim — jednego czynnika, towarzyszącego niezmiennie wszystkim rewolucjom, ile ich historia zapisała: brak jakichś manifestacyj samorzutnych, kotłowiska ulicy, gilotyn wznoszonych na placach, słowem — tych wybuchów zbiorowości ludzkiej, jakie występowały z mocą w epoce — powiedzmy — Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Być może ten brak ma swoje źródło istotnie w „łagodności" naszej rewolucji, a może w jej „integralizmie", integralizm bowiem kojarzy się z pojęciem planowości, ta zasię zazwyczaj jest regulowana przez państwo, podobnie jak ruch uliczny regulowany jest przez służbę porządkową pod hasłem: „Stój! Sygnał regulującego jest dla ciebie rozkazem". Możliwe, że nasz ruch rewolucyjny nie jest spontaniczny, lecz planowo regulowany, i skutkiem tego nie dostrzegamy w nim żywiołowości rewolucyjnej, żarliwości rewolucyjnej — jakże pięknej w swych gigantycznych przejawach, znanych nam np. z dziejów Rewolucji Francuskiej, kiedy to — jak powiada Anatol France — „les dieux ont soif": bogowie pragną...

Rzeczywiste oblicze naszego tłumu można oglądać chyba tylko w pociągach, w natłoczonych wagonach, w ścisku dworców kolejowych. Tam wszystko kipi, gniecie się, rozpycha, przeklina. Tam rzucają się w oczy straszliwe kontrasty naszego życia. Oto tłukę się gdzieś między Ostrołęką a Łomżą, a naprzeciwko mnie siedzi brzuchal, trzymając na kolanach otwartą walizę z żywnością; wyciąga z niej butelkę wódki, jaja na twardo, kurczę pieczone, rybę smażoną („jedz ryby, będziesz zdrów jak ryba"), ogórki, pomidory. Objada się tym po kolei, nie zwracając uwagi na głodne oczy beznogiego chłopczyka, który o kuli wskakuje na małej stacyjce do wagonu, ażeby nam śpiewać (dziecięcym i fałszywym głosem) o powstaniu warszawskim: „O, jaka rozpacz się w sercu rozpina! Walczyć nie ma już czem! Pod czołg idzie z butelką dziewczyna, by zapłacić jem! Za zburzoną, kochaną stolicę i za zgliszcza te, za trupami zasłane ulice..." Brzuchal mógłby dać pół kurczęcia chłopcu. Drugie pół mógłby dać trzem grajkom, z których jeden, przy wtórze muzyki, śpiewa falsetem: „Czerwone maki na Monte Cassino zamiast rosy piły polską krew... tam Polak z honorem brał ślub... Ta ziemia do Polski należy, choć Polska daleko jest stąd, bo wolność krzyżami się mierzy, historia ten jeden ma błąd..." Ale brzuchal jest wyznawcą zasady, sformułowanej niegdyś przez Boya: miła zawsze jest muzyka, gdy się przy niej ji indyka, a gdy człowiek sobie podje, dziwnie tkliw jest na melodje...

Odbiegam od tematu. Ględzę, nie wiedzieć o czym. A chciałem zapytać: czy wiecie państwo, że w Wyszkowie naprzykład jeden głębszy, sałatka z pomidorów, dziesięć deka szynki, ogórek kwaszony, butelka piwa i dowoli chleba białego — wszystko razem kosztuje 90 zł. Myślę, że na dworcu w Łodzi wyniosłoby to ze 150 zł. W odrapanej jadłodajni łomżyńskiej wisi nad bufetem oprawny w ramkę slogan: „Kobieta polska swą ofiarną pracą zwalczy trudności i zbuduje nowe, szczęśliwe życie". Stojąca za bufetem kobieta polska sprzedaje za 140 zł następujące produkty: dwie mniejsze wódki, porcję szczupaka po grecku, kotlet — siekany wprawdzie, ale duży, z kartoflami i z kapustą, butelkę piwa i chleba białego à discretion. I nie dolicza się tam nie tylko podatku od spożycia, ale nawet kelnerskich dziesięciu procent. Wydaje się więc, że w północnych łomżyńskich krajach jest bardzo tanio. Z drugiej strony, jajko kosztuje tam 10 zł, chleb do niedawna 40 zł kilo, teraz 30 zł. Wygląda więc na to, że drogo. Nie jestem ekonomistą i nie znam się na integralizmie rewolucyjno-ekonomicznym, myślę jednak, że w powyższych rozpiętościach cen tkwią jakieś niekonsekwencje. Ogólnie biorąc, w ziemi łomżyńskiej obserwowałem nędzę; mógłbym powiedzieć — wyjątkową nędzę. Pan Fabian Dyszczyk, pracownik punktu sanitarnego PCK w Łomży (nocowałem tam, bo hotele wszystkie „zgruzowane") otrzymuje 200 zł miesięcznie. Jeśli się da dziadowi pod kościołem 5 zł, czyni gest takiego zdumienia, jakby nań spadła manna niebieska, i błogosławi ofiarodawcę dopóty, dopóki ten nie zginie na zakręcie. Osobliwy to kraj, gdzie baby na mizernym targu liczą jeszcze na pojedyncze złotówki i przechwalają się wzajemnie, że jedna zarobiła 33 zł, a druga tylko 32.

Jednocześnie obok biedy, płynie tam równoległym korytem bimber, jako zapewne jeszcze jedna z tych trudności gospodarczych, które przeżywa nasza odrodzona państwowość, a które być może zwalczy dopiero ofiarną pracą kobieta polska, stojąca za bufetem. Z biedy piją wszyscy — nie monopolkę, lecz oryginalny samogon. W jednym z miasteczek tamtejszych widziałem taki medal o dwóch stronach. Szło dwóch milicjantów. Spotkali się ze znajomym cywilem, który szedł z naprzeciwka. „Czy masz zapalić? — pytają: — bo u nas dziś straszny mortus". Okazało się,



Łomża. Plac Kościuszki zniszczony podczas działań wojennych
(fot. St. Lucenko)

że cywil sam chciałby zapalić, bo i u niego straszny mortus, stanęli wszyscy trzej bezradnie, rozglądając się dokoła i czekając na cud. Zaryzykowałem. Przybrałem postać Haruna al Raszyda (z „Tysiąca i jednej nocy") i zbliżyłem się do mortusowców. Błysnęła w słońcu moja srebrna pradziadowska papierośnica ze złotym monogramem i z herbem, nabita bałtykami. Błysnęły oczy mortusowców. „Nie chciałbym panów urazić" — rzekłem elegancko: — ale będzie mi bardzo przyjemnie, jeśli panowie nie odmówią". Byli zażenowani, wszelako żaden palacz, którego zżera żądza papierosa, nie oprze się w takim wypadku. Wetknąłem im jeszcze sześć bałtyków „na zapas". A w kilka godzin później widziałem ich wszystkich w owej knajpie, gdzie był szczupak po grecku, jak siedzieli przy litrze bimbru. Udali, że mnie nie poznają, ale ja jestem wyrozumiały na ułomności ludzkie. Nie mogłem tylko pojąć, w jaki sposób można wydać większą sumę na alkohol i szczupaka, gdy przed kilku godzinami brakło kilkudziesięciu złotych na papierosy. Może — przy naszych niekonsekwencjach gospodarczych — zdarzają się jakieś błyskawiczne zarobki, a może żywe są jeszcze śród nas tradycje staropolskiej gościnności? Zresztą, co się tyczy milicji, ludzie w tamtych stronach powiadają, że musi ona pić, albowiem nie są to strony bezpieczne, i milicja bezustannie naraża swe życie w walkach. Z kim? Niełatwo to określić, sam jednak, nocą z dnia 18 na 19 sierpnia, znalazłem się w małym tamtejszym miasteczku w momencie prawdziwego oblężenia: działano nawet granatami. Milicja musi wciąż czuwać, i aby nie zasnąć, trzeźwi się alkoholem. Ale i ludność cywilna, pewnie



Łomża. Gimnazjum i Liceum żeńskie.
(fot. St. Lucenko)

z tego samego powodu, pije dużo. Bo są tam jeszcze gęste lasy w okolicach Ostrołęki i Myszyńca, między Łomżą a Zambrowem. Trzeba pić dla kurażu. Być może, z tego powodu, w szalecie publicznym parku łomżyńskiego widnieje na ścianie napis, skreślony nieudolnie kredą: „Tylko tyle nam zostało, że się możemy..... śmiało".

Należałoby więc tamtejsze okolice — że się tak wyrażę — pacyfikować. Ale jak? Niepodobna wycinać lasów, bo to by zachwiało integralną gospodarką narodową. Może podnosić pobory biednym Dyszczykom? Stawiać mosty na Bugu, żeby pociągi nie utykały w Rybienku, skąd piechotą lub furmankami musi się człowiek przeprawiać kilka kilometrów do Wyszkowa, ażeby dopiero tu czekać godzinami na pociąg do Ostrołęki? Może tak komponować rozkłady jazdy, żeby pociąg z Łomży do Warszawy nie wlókł się od piątej z rana do drugiej po południu czyli dziewięć godzin, wówczas gdy przed wojną drogę tę odbywało się we trzy—cztery godziny? Może postępować tak, żeby było więcej ludzi zadowolonych, żeby nawet milicja nie mówiła z goryczą: jakżeż ja mogę wyżyć z rodziną za 1200 zł miesięcznie? Może zabudowywać spalone i zniszczone miasteczka? Łomża naprzykład, jedno z najstarszych miast Mazowsza, jest ciężko przez wojnę poszkodowana. Niemcy, ustępując stąd przed ofensywą Armii Czerwonej, wysadzali, co mogli, w powietrze. Szczęśliwie ocalały dwa piękne, starożytne kościoły: fara i Kapucynów. Reszta Łomży — to doprawdy wielkie Campo Caprino, jak Forum Romanum w średniowieczu. Kóz tutaj mnóstwo, i pasą się po ulicach, zarośniętych trawą: A koza — wiadomo — to symbol nędzy. Blade staruszki dozorują kóz i witają przechodnia — o dziwo — słowami, rzadko dziś słyszanymi: niech będzie pochwalony... Ale oto i drugie dziwo: wśród gruzów i chwastów wałęsa się, biega i bawi mnóstwo dzieci. Nie wiem, czy wszystkie dozorowane są równie starannie, jak kozy. Ale są śliczne swym dziecięcym urokiem, płowością włosów i błękitem oczu. Głupia torebka cukierków wprawia je w zachwyt. Te dzieci — Boże mój drogi! — jakaż to radość. Albo — mówiąc językiem ekonomicznym i urzędowym: skarb, zdrowie i przyszłość narodu. Skąd się ich tyle na ruinach bierze, skąd ich się tyle rodzi w warunkach, zdawałoby się, niesprzyjających życiu? Stąd, że życie jest nieśmiertelne.

J. W.



ZWYCIĘZCY W WYŚCIGU PRACY

Ministerstwo Przemysłu ogłosiło swego czasu „Wyścig Pracy" połączony z akcją repolonizacyjną zakładów przemysłowych na Ziemiach Odzyskanych. Dla zjednoczeń oraz większych fabryk wydzielonych wyznaczono wysokie nagrody pieniężne i sztandar przechodni.

Sztandar przechodni zdobyła obecnie na własność fabryka sztucznego jedwabiu we Wrocławiu, uzyskując w ostatnim miesiącu 191 proc. normy produkcyjnej. Fabryka zatrudnia 1200 robotników wyłącznie Polaków.

Ob. Jang, który za niemieckich czasów był zwykłym robotnikiem, po przybyciu do Wrocławia, sam zorganizował jeden z najważniejszych działów produkcji sztucznego jedwabiu, dysufurację, wypłukiwanie siarki z jedwabiu i bielenie.

Obecnie został kierownikiem zorganizowanych przez siebie zakładów.

KANAŁ ODRA-DUNAJ

Połączenie kanałowe północnych i południowych systemów rzecznych Europy dawno już zaprzątało uwagę ekonomistów i techników. W szczególności, naturalne ułatwienia, jakie przedstawia między Sudetami (Jesionki) i Karpatami — Brama Morawska, którą już w starożytności szedł słynny handlowy „szlak bursztynowy" — raz po raz kusiły do realizacji budowy kanału, od którego przede wszystkim zależy nadanie dwom wielkim Zagłębiom przemysłowym: Górnośląskiemu i Śląsko-Morawskiemu — ogólno europejskiego, a nawet światowego znaczenia.

HISTORIA PROJEKTU

Pierwszy konkretny projekt kanału wyszedł w roku 1901 z inicjatywy Polaków, którzy widzieli w nim jedyny niemal środek do przełamania przysłowiowej wówczas „nędzy galicyjskiej". Projekt przewidywał także kanałowe połączenie Wisły z Odrą, ewentualnie i z Dniestrem. Państwowa Komunikacja Przemysłowa w Wiedniu nie poparła projektu, nawet z odmianą, proponowaną przez koła austriackie, doprowadzenia ujścia kanału do Dunaju w rejonie Wiednia. Rząd Austrii obawiał się podniesienia gospodarczego Śląska i Galicji, dbając jedynie o rozwój egoistycznych interesów samej stolicy.

Odtąd projektu tego oficjalnie nie powtarzano, chociaż w publicystyce nie raz się o nim wspominało. Obecnie, w chwili wkraczania stosunków polsko-czeskich na drogę zbliżenia, sprawa tej, kosztownej wprawdzie, lecz ze wszechmiar korzystnej inwencji, zyskuje na znaczeniu.

KORZYŚCI DLA CZECHOSŁOWACJI

Korzyści, jakie wyciągnęłaby z przyszłego kanału Czechosłowacja, byłyby dwukierunkowe, zarówno dla importu jak i eksportu. Jeden z głównych czeskich ośrodków przemysłowych, niedysponujący dotychczas żadnymi drogami wodnymi — Zagłębie Śląsko - Morawskie — uzyskałoby bezpośrednią drogę w kierunku Bałtyku i w kierunku krajów bałkańskich oraz Morza Czarnego. Do Bałtyku mogłyby spływać wyroby czeskiego ciężkiego przemysłu metalowego, a przybywać stamtąd rudy szwedzkie. Natomiast na Bałkany mogłyby iść nie tylko czeskie wyroby, ale i trochę węgla. Z Bałkanów zaś wędrowałyby do Czech barki z naftą rumuńską i jej przetworami, tudzież inne surowce. Poza tym powstałaby ważna dla Moraw arteria dla przewozu miejscowych bogatych produktów rolniczych, i to nawet za granicę w obu kierunkach.

KORZYŚCI DLA POLSKI

Polska wyciągnęłaby również bardzo poważne korzyści, ale tylko jednokierunkowe. Mając już rzeczne połączenie arterią wodną Odry z Bałtykiem, jedyny zysk odniosłaby z tranzytu czeskiego. Natomiast nowym nabytkiem dla nas byłoby cenne połączenie z krajami naddunajskimi i bałkańskimi. Węgiel polski mógłby płynąć bezpośrednio ze Śląska do Wiednia, Bratysławy, Budapesztu, nawet dalej, nie mówiąc już o zaopatrywaniu po drodze samej Czechosłowacji.

Tą drogą moglibyśmy importować nie tylko naftę rumuńską, czy wyroby czeskie, ale i bogaty wachlarz surowców górniczych Bałkanu.

SZCZEGÓŁY TECHNICZNE

Odległość pomiędzy górnym biegiem Odry a Środkowym Beczwy (dopływ Morawy), pomiędzy Nowm Ilcznem a Granicą — wynosi zaledwie 20 klm. Jednakowoż odległość pomiędzy końcowymi punktami żeglugi na Odrze (Koźle) i Morawie (poniżej Kromieryża) wynosi 200 klm. wzdłuż biegu rzek. Cała ta długość musi być skanalizowana. Poza tym dolny bieg Morawy wymaga pogłębienia.

Od strony wzniesień terenu budowa kanału nie napotka dużych trudności. Główny europejski dział wodny w Bramie Morawskiej osiąga stosunkowo nieznaczną wysokość — niewiele ponad 300 m. Większą trudnością byłoby zaopatrzenie kanału w wodę, zwłaszcza późnym latem i wczesną jesienią. W tym celu trzeba by na bocznych rzekach budować zapory — zbiorniki, oraz pokrajać kanał śluzami, spiętrzającymi poziom i zatrzymującymi wodę. Te urządzenia są konieczne, aby osiągnąć głębokość 2 m., jakiej wymaga uniwersalny w Europie typ barek 650-tonowych. Musi to być bowiem pełnowartościowy szlak międzynarodowy.

Znaczenie kanału, oraz rozmiary budowy nasuwają konieczność prac etapowych. Zacznijmy od odcinka do Raciborza, może od Ostrawy Morawskiej. Korzystając z oczyszczania się atmosfery polsko-czeskiej, przedyskutujmy z braćmi Słowianami zza Karpat i Sudetów dalszą realizację tego przedsięwzięcia, stanowiącego wspólny interes Polski i Czech.

Dr. Stanisław W. Berezowski

Wracamy do kraju

Najtrudniejszym momentem była decyzja: zgłaszam się na wyjazd do kraju. Trzeba zrozumieć warunki naszego pobytu za granicą i propagandę, prowadzoną przez obie strony, trzeba wczuć się w psychikę żołnierza, siódmy rok przebywającego z dala od Ojczyzny, by ocenić powody jego wahania się przed powrotem do Polski.

Siedem lat pobytu w wojsku nie wpływa dodatnio na pobudzenie pracowitości człowieka w mundurze. Przyzwyczaja się on do tego, że nie potrzebuje się troszczyć o strawę, o łach na grzbiecie i dach nad głową, a w dodatku otrzymuje jeszcze żołd, lub — jak się to np. na internowaniu nazywało — kieszonkowe. Gdyśmy po 5 latach pobytu w Szwajcarii powrócili do Francji i przeszli pod dowództwo angielskie, sytuacja nasza uległa poprawie. Wprawdzie zaopatrywanie w części ekwipunku pogorszyło się, jednakże wyżywienie polepszyło się, ponadto zaczęto nam co tydzień wydawać t. zw. „raszyn", obejmujący bezpłatny przydział papierosów, żyletek, zapałek i czekolady, jako też „raszyn" płatny, w którym można było nabywać dodatkowo papierosy, czekoladę, mydło, kompoty, konserwy rybne i t. p. Przede wszystkim odpadł obowiązujący nas w Szwajcarii przymus pracy.

Obozy nasze we Francji mieściły się w Lille, Lannoy i La Courtine. W pierwszych dwóch miejscowościach żołnierze zakwaterowani byli przeważnie w tzw. chateaux czyli opuszczonych willach fabrykantów, w niektórych zaś wypadkach w nieczynnych budynkach fabrycznych. W chateaux panuje mocno wyszarzany komfort, w halach fabrycznych wilgoć i zimno. Kurz tu i tam.

Dowództwo starało się jak mogło zatrudniać żołnierzy. Dziennie były trzykrotne zbiórki. Urządzano pogadanki, wykłady i kursy, lecz nie cieszyły się one powodzeniem.

Co zatem robią, czym wypełniają czas? Nie jest to budujące. Kwitnie kartograstwo. Niemal każdy ma jakąś „chérie". Ponawiązywane zostały mniej lub więcej trwałe związki. Łazi się do kina, na dancingi. I dużo się... handluje. Bo otrzymuje się w „raszynie" rozmaite przedmioty, których się nie zużywa samemu. Np. tygodniowo 150 papierosów, które mogą być poważnym źródłem dochodu. Dostaje się gumę do żucia i sprzedaje ją z zarobkiem. Był też czas, kiedy mogliśmy nabywać, po znacznie niższej cenie niż rynkowa, koniak, szampan, likier i wódkę. Bywały tygodnie, że po cztery butelki — na szarżę od plutonowego w górę. To wszystko zmusza niejako ludzi do uprawiania handlu, t. zw. „marché noir".

Zreasumujmy tedy: zapewnione utrzymanie, żołd, „raszyn", dochody z handelku, nieróbstwo i osobiste przyjemnostki z jednej strony, i propaganda, malująca wszystko co krajowe w najgorszym świetle, z drugiej. Więc żołnierz się waha: rodzina, obowiązek, tęsknota wzywają do domu, plotka — wstrzymuje.

Byliśmy we Francji na ogół dobrze poinformowani o tym co się dzieje w kraju. Wiedzieliśmy o zniszczeniach, o biedzie, o niskich zarobkach i nie baliśmy się tego, ani oczekującej nas pracy, lecz bajek szerzonych przez propagandę.

Kiedy więc przyszedł rozkaz, że można się zgłaszać na wyjazd, wielu chodziło jak błędni. Co robić? Z tym pytaniem zwracało się do zaufanych kolegów, prowadząc z nimi długie rozmowy. Kiedy pojedziemy? Którędy? Ile bagażu można ze sobą zabrać i co? — te pytania przewijały się w tysiącznych wariantach.

Czas na zgłaszanie się był wyznaczony krótki, a przecież z obozu Lille-Lannoy zgłosiło się blisko 250, z obozu La Courtine ponad tysiąc ludzi.

Pierwszym konkretnym zarządzeniem, wskazującym, że tym razem naprawdę zanosi się na wyjazd, było wysłanie tych ludzi do obozu demobilizacyjnego w Annappes pod Lille, gdzie zaczął się dla nas ostatni tydzień pobytu na ziemi francuskiej. Tu się policzyliśmy i radośnie witali stare znajome twarze: „A, to i ty jedziesz? Sama stara wiara".

W samej rzeczy jechał przeważnie stary, sterany tułaczką żołnierz, który miał dosyć nieróbstwa, niepewności, „raszynu" i mrożonej baraniny. Kto zaś został? Ci



Odjazd Polaków do kraju z Lannoy (Francja)

co nie chcieli wracać ze względów politycznych, ci co mieli coś na sumieniu i bali się, ci co zdążyli się już urządzić na obczyźnie i ci co zamierzali wykorzystać szansę obecnego życia do ostatka, bo innego — wypełnionego pracą w normalnych warunkach — nie mogli już sobie wyobrazić.

Wyjazd naszej grupy został wyznaczony na dzień 14 lipca. Załadowaliśmy się do wagonów i transport ruszył w kierunku Calais. Z dziwnym uczuciem patrzyłem na pola Francji, którą pokochałem i gdzie było nam dobrze.

Obóz tranzytowy w Calais jest miastem baraków, gdzie panuje wzorowy porządek i organizacja. Wymieniono nam francuskie pieniądze na funty do 5 Ł na osobę. Nazajutrz rankiem rzeka ludzi, objuczonych tobołami, wypłynęła z obozu. Wpuszczono nas na statek, rozmieszczono, polecono założyć pasy ratunkowe. O godz. 8 statek odbił od brzegu i — żegnaj Francjo!

Białe, strome brzegi angielskie — to Dover. Wyładunek. Długim wężem i przez istny labirynt przejść posuwaliśmy się pod bacznym okiem celników i Military Police, a potem wygodnym pociągiem przemierzyliśmy całą Anglię w kierunku północno- wschodnim, i rankiem następnego dnia wysiedliśmy w Armadale, małej stacyjce szkockiej w pobliżu obozu Polkammet, gdzie mieliśmy być demobilizowani. Tu uzupełniono stan naszego umundurowania. Polegało ono na wydaniu niemal wszystkiego, poczynając od sznurowadeł i szczotki do włosów, kończąc na dwóch parach nowych trzewików. Wypłacono żołd do chwili wylądowania w Polsce, t. zn. do 28 lipca. Dano rozliczenie za czas służby pod dowództwem angielskim, płatne jednakże dopiero w Polsce.

Żołnierze, wracający do kraju, czynili obszerne zakupy. Kakao, kawa, skóra na podeszwy, obuwie, pończochy i t. p. znajdowały masowych odbiorców. Sklepiki w polskiej wiosce Whitburn zostały z niektórych towarów ogołocone.

W dniu wyjazdu załadowano nas do autobusów, i omijając Edinbourgh, przyjechaliśmy do portu Leith. W olbrzymiej hali leżały nasze bagaże, ułożone według porządku alfabetycznego nazwisk. Kompania za kompanią przechodziliśmy przez kontrolę dewizową (nie wolno było wywozić ponad 5 Ł oraz dolarów i franków szw.) i celną.

M/S „Sobieski", nasz polski statek, czekał u nabrzeża. Ładowaliśmy się według hierarchii angielskiej: oddzielnie szeregowcy do kaprala włącznie, potem plutonowi, sierżanci, wreszcie oficerowie i kobiety. Porządku pilnowała Military Police. Głośnik chrypiał rozkazami. Burty były oblepione żołnierstwem, statek zaś bez przerwy, niby legendarny lewiatan, pochłaniał nowe szeregi.

Następnego ranka zjawiła się wojskowa szkocka orkiestra i grała nie tylko popularne utwory, lecz i ku ogólnemu zadowoleniu, wiązankę melodii polskich. Przybył brygadier angielski oraz przedstawiciele władz cywilnych. Hymny i przemówienia. Gromady żegnających na nabrzeżu. U nas zaś na statku, nastrój oczekiwania na odjazd: byliśmy już jak gdyby jedną nogą w Polsce...

Wreszcie godz. 10, jak było zapowiedziane, statek odbija od brzegu. Szkoci grają... „Góralu, czy ci nie żal?"... i cały statek podchwytuje tę pieśń. Wrażenie jest wielkie.



Roubaix (Francja). Pochód Polaków wraz z kompanią honorową W. P. na ulicach miasta z okazji poświęcenia Domu Polskiego

Zwolna, w słonecznej mgiełce, giną, oddalają się brzegi Szkocji. Przed nami roztacza się coraz rozleglej otwarte morze. Przed nami, na tym lśniącym szlaku, leży Polska.

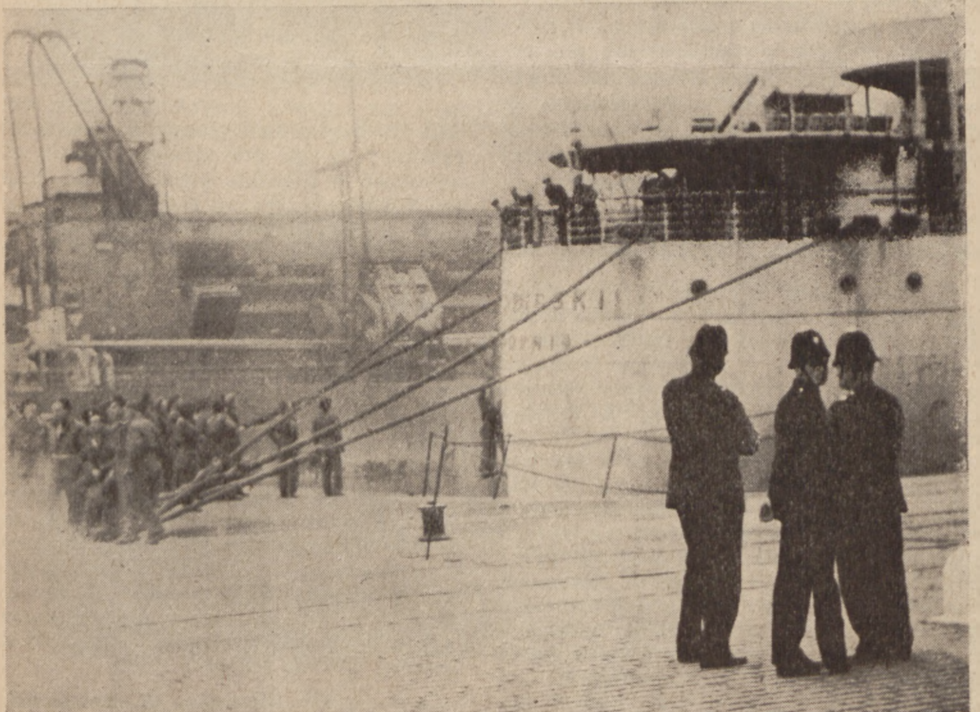
Trzy dni na morzu. Żołnierze wsparci o burty, rozłożeni na słońcu, pogrążeni są w myślach. Zbliżająca się Ojczyzna wciąż jeszcze zwraca do nas swe janusowe oblicze.

Rankiem, czwartego dnia podróży, budzimy się na nadbrzeżnych wodach polskich. Statek stoi. Na prawo widnieją zarysy Gdyni, przed nami Gdańsk, lecz w tym Gdańsku nie widać tak dobrze nam znanych wież kościelnych.

M/S „Sobieski" przycumował. Zbrojne warty otoczyły nabrzeże. Niebawem rozpoczął się załadunek do czekających na nas towarowych wagonów. Panował piekielny upał. Dźwigając toboły, uprzytomniłem sobie, że zgoła nie na miejscu byłoby przyklęknięcie i ucałowanie przez wracającego pielgrzyma ziemi ojczystej. Ojczyzna stawała przed nami surowa i trzeźwa, oczekująca wierności i pracy. Wzruszenie zdławiło tylko gardło.

Jerzy K. Maciejewski

M/s Sobieski, zabierający żołnierzy polskich powracających do kraju z Leith (Anglia). Na pierwszym planie angielscy policjanci



Od i do Redakcji

P. B. Ratajski w Warszawie. W związku z notatką „Na ekranach paryskich" („Tydzień Nr 5) pisze Pan: „A czy Pan, drogi korespondencie filmowy, nie słyszał nic o wspaniałej wartości artystycznej i kulturalnej filmów francuskich: „Skarb rodziny Goupi" czy „Dzieci raju". A może także nic Pan nie wie o „powojennym" filmie- arcydziele europejskiej produkcji „Ostatniej szansie", lub wielu innych filmach, że wymienię angielskie, radzieckie i szwedzkie? Całkowicie nie zgadzam się z Pana zdaniem i uważam je za oczywiste przekręcanie faktów". — Jest Pan ironiczny, surowy, bezwzględny i niesprawiedliwy. W notatce naszej mówiliśmy tylko o tym, że nie wszystkie filmy francuskie po wojnie osiągają należyty poziom. Zaznaczyliśmy, że niektóre są doskonałe, np. „Człowiek w czerwonym kapeluszu", inne — jak „Dziwne przeznaczenie" — są szmirą. Nie wypowiadaliśmy zresztą własnego zdania, lecz cytowaliśmy głosy krytyków paryskich, np. p. Luc Estanga lub recenzję z „Une Semaine dans le Monde". O filmach angielskich, radzieckich i szwedzkich nie wzmiankowaliśmy nawet. Więc — gdzie Rzym, gdzie Krym gdzie karczmy babińskie? Przyzna Pan chyba, że nie wniknął Pan należycie w treść naszej notatki, zdenerwował się Pan niepotrzebnie — i jeśli ktoś przekręcił fakty, to nie my.

P. Bol. Olszewski w Radomsku. Prosimy przeczytać uważnie felieton w dzisiejszym numerze p. t. „Umiejętność czytania".

P. Zofia Popławska w Łodzi. Ma Pani zupełną rację. Za błędy korektorskie przepraszamy.

P. Zofia Marcinowiczowa w Leśnej, pow. Lubań (Dolny Śląsk). List przekazaliśmy p. kpt. Ognistemu, celem nawiązania bezpośredniego kontaktu. O wydrukowaniu książki kpt. Ognistego zawiadomimy naszych czytelników.

P. Stan. Migoń — Dworszowice Kość. p. Brzeźnica, pow. radomski. Przy okazji wykorzystamy. Warunki omówimy listownie.

P. mgr. Surowiński K. — Białystok. Za uznanie dziękujemy. Reportaże o ile ciekawe i ze zdjęciami chętnie wykorzystamy.

Pracujący inteligent w Bydgoszczy. Prosimy przeczytać uważnie w dzisiejszym numerze felieton p. t. „Umiejętność czytania". Stwierdzamy, że p. Lutrosiński w fragmencie z książki p. t. „Szukam Człowieka", drukowanym w Nr 7 „Tygodnia" zupełnie inaczej przedstawiał sprawę.

P.S.K. w Warszawie, P. J. Kowalski w Gdańsku i p. Szczudłowski w Lublinie. Termin zamknięcia konkursu przesunęliśmy do 4 listopada b. -

P. Stanisław i Maria Pankau w Rudzie k. Rogóźna Wlkp. List przekazaliśmy p. kpt. Ognistemu, który ma wiadomości o synie Państwa i porozumie się bezpośrednio w tej sprawie.

P. Sławiński Edmund p-ta Miłosna pow. Lwówek. Wolelibyśmy dobrą prozę, artykuł, reportaż ze zdjęciami. Wierszy mamy dosyć.

P. Ignacy Jankowski w Bydgoszczy, p. Weronika Linkiewicz w Nowej Soli nad Odrą p. dr Wincenty Sobolewski w Sandomierzu, p. Jadwiga Strupczewska w Bytomiu, p. Wanda Caspary w Katowicach i p. Ładziński Radosław w Warszawie. Listy przekazaliśmy p. kpt. Ognistemu celem osobistego nawiązania kontaktu.

P. Bogusław Kaufman w Warszawie. Za cenne uwagi dziękujemy. Po sprawdzeniu wykorzystamy. P. kpt. Ognisty skomunikuje się z Panem osobiście.

P. Jan Gumiński w Kutnie. Postaramy się rozszerzyć dział sportowy.

P. J. M. w Gdańsku, P. L. R. w Wałbrzychu, P. S. T. w Radomiu, P. B. K. w Poznaniu, P. St. P. w Częstochowie i P. H. Lisowski w Białymstoku. Nie skorzystamy.

P. Mikołaj Kluf i p. Matusiak w Piotrkowie Tryb., P. Marian Osika w Krakowie. Dziękujemy za uznanie. Zagadnienia, które Panów interesują, będą omawiane.

WIECZNIE POKRZYWDZENI

Wysiedleni z Polski Niemcy, po przybyciu do vaterlandu wznoszą lament, że władze polskie w nieludzki sposób prześladują ich, nie pozwalając zabrać ze sobą czegokolwiek.

Według umowy zawartej między władzami polskimi a komisją aliancką wolno każdemu Niemcowi zabrać z sobą tyle rzeczy, wiele jest w stanie unieść.

Ale, jak to wygląda w praktyce? Widzimy na zdjęciu, dokonanym na ulicach Wrocławia.



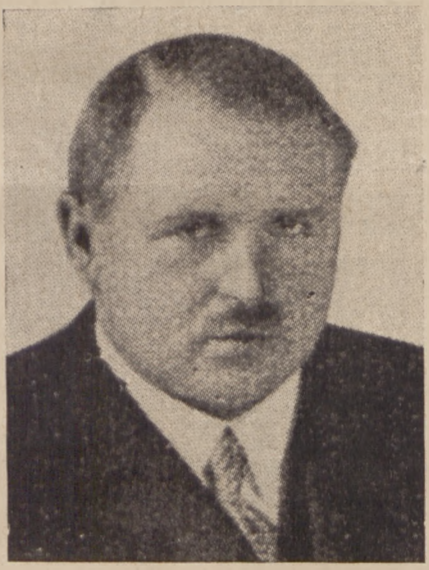
ZAKOŃCZENIE KURSU SPÓŁDZIELCZEGO DLA DZIAŁACZY ZW. ZAWODOWYCH

W Otwocku pod Warszawą w obecności prezydenta KRN Ob. Bieruta, premiera Osóbki-Morawskiego, wiceprezydenta Szwalbego i prezesa „Społem" Żerkowskiego, odbyło się uroczyste zakończenie kursu spółdzielczego dla działaczy Związków Zawodowych. Absolwenci kursu będą mieli za zadanie, krzewienie idei spółdzielczej na terenie zawodowym pod hasłem „Każdy zawodowiec — spółdzielcą".





Na zdjęciu widzimy prezydenta Bieruta, premiera Osóbkę-Morawskiego i prezesa Żerkowskiego podczas uroczystości w Otwocku



STEFAN STARZYŃSKI

W dniu 8 września br. stolica a wraz z nią cała Polska odda hołd pamięci prezydenta m. st. Warszawy ś. p. Stefana Starzyńskiego, który spełnił swój obywatelski i wojskowy obowiązek we wrześniu 1939 r. do ostatka, dzieląc z mieszkańcami i obrońcami Warszawy ciężkie chwile oblężenia stolicy, wzbudzając podziw i uznanie w świecie. Niemcy nie uszanowali jego bohaterskiej postawy, a nie mogąc go skłonić do współpracy, aresztowali, wywieźli do obozu i „wykończyli".

Radiostacja „Warszawa II" nazwana została im. Stefana Starzyńskiego. Ponadto Miejska Rada Narodowa w Warszawie na posiedzeniu w dniu 8 bm. nada jednej z ulic Warszawy oraz sierocińcowi dla dzieci po poległych w walce z Niemcami — nazwę im. Stefana Starzyńskiego.

RÓŻNE

POWRÓT KRÓLA DO GRECJI na skutek wyniku referendum ma nastąpić w ciągu bm. Partia komunistyczna złożyła protest z powodu nadużyć wyborczych.

KONGRES SOCJALISTÓW FRANCUSKICH zakończył się uchwaleniem rezolucji kompromisowej łagodzącej spór prawego i lewego odłamu partii. Kongres wypowiedział się za prowadzeniem własnej polityki niezależnej od wpływów ubocznych.

KONSERWATYŚCI ANGIELSCY CHCĄ ZMIENIĆ SZYLD. Wybitni konserwatyści z Churchillem na czele zapowiedzieli zgłoszenie wniosku na najbliższym kongresie w sprawie zmiany nazwy partii na demokratyczną.

PO MISTRZOSTWACH LEKKOATLETYCZNYCH EUROPY

Niespodziankę sprawili w Oslo zawodnicy Związku Radzieckiego, którzy do Norwegii przylecieli trzema potężnymi samolotami. Ponadto przywieźli oni własną aparaturę krótkofalowej stacji radiowej. Już po pierwszych przedbiegach, a i po maratonie można było się zorientować, że Związek Radziecki mieć będzie głos decydujący w tym pierwszym starcie swoich zawodników w Europie. Punejko walczy na dystansie 42 km jak równy z równymi, a ma przecież całą koalicję doskonałych biegaczy skandynawskich, no i następcę słynnego Louisa — Greka Ragazoga. Zwycięża ostatecznie syn kraju tysiąca jezior — Hietanen w czasie 2.24,55, a za nim znajduje się drugi biegacz Finlandi — słynny Muinonen, i dopiero na trzecim miejscu Punejko. Zajęcie trzeciego miejsca przez zawodnika Moskwy w maratonie o mistrzostwo Europy było chyba większą sensacją niż zdobycie drugiego miejsca w dziesięcioboju przez Kuzniecowa. Dziesięciobój był tą konkurencją, która dostarczyła Polakom wielu rozczarowań. Liczyliśmy bowiem, że nasz mistrz a wicemistrz Europy z 1938 roku Gierutto i tym razem zajmie jedno z czołowych miejsc, zwłaszcza że zapowiadał, że czuje się doskonale. Widocznie pech chciał, że Gierutto po pierwszym dniu, gdy się znajdował na czwartym miejscu, naderwał ścięgno Achillesa i musiał wycofać się z walki. Dla nas Polaków był to cios. Kuźmicki — drugi nasz reprezentant, „odwalał" dziesięciobój pierwszy raz w swoim młodym i studenckim życiu, nic też dziwnego, że nie mogliśmy liczyć na zwycięstwo, a raczej na zajęcie tak zwanego zaszczytnego, byle tylko nie ostatniego miejsca. Kuźmicki zajął dziesiąte miejsce, mając za sobą jeszcze dwóch zawodników: Włocha Ossena i Jugosłowianina Urbica.

W ponurym nastroju znaleźliśmy się po pierwszym starcie Walasiewiczówny. Któż mógł bowiem się spodziewać, że ta nasza mistrzyni świata i jedna z najpopularniejszych zawodniczek przybędzie do Oslo w słabej formie. Walasiewiczówna nie odegrała żadnej roli w zawodach, ale obiecuje, że niebawem będzie naszą dawną Walasiewiczówną, która rwać będzie nadal taśmy na mecie wszystkich stadionów sportowych w Europie.

Osłodą naszych chwil smutnych w Oslo był start Wajsówny w rzucie dyskiem. Pabiniczanka okazała się zawodniczką niezawodną, chociaż nie zdobyła pierwszego miejsca, jednak jej drugie miejsce przyniosło nam pewnego rodzaju sukces i flaga polska wzniosła się raz jeden na maszcie. I znów wspomnieć trzeba o zawodniczkach Zw. Radzieckiego. Pełna wdzięku kobiecego wspaniale zbudowana Dumbadze rzuciła dyskiem 44.81, wówczas gdy Wajsówna miała 39.96 a trzecie miejsce zdobyła druga zawodniczka Zw. Radzieckiego — Siewriukowa rzutem 38.55.

Opuściliśmy Oslo z kilku zdobytymi punktami i z kilku medalami za zdobyte miejsca dalsze, ale z medalami pamiątkowymi.

Na marginesie wyprawy do Norwegii trzeba wspomnieć o zawodach, zorganizowanych w Szwecji, w Göteborgu. Wajsówna zdobyła w dysku pierwsze miejsce, ale Murzyn angielski uzyskał na 100 m nienotowany dotychczas czas 10,3 sek. Jest to wynik rekordowy. Ovens miał przecież 10,2, ale nie trzeba zapominać, że czas ten osiągnął przy największym wysiłku i wyjątkowo silnej konkurencji na Olimpiadzie w 1936 r. **J. N.**



A. Conzolini mistrz włoski w rzucie dyskiem

WIADOMOŚCI SPORTOWE

W Polsce miała gościć piłkarska drużyna z Węgier Ferencvaros, która mimo zapowiedzi a i rozreklamowania, niestety, nie przyjechała do nas. Na stadionie w Łodzi zebrało się ponad 10 tysięcy widzów, którzy zamiast gry Węgrów przyglądać się musieli pospolitym zawodom drużyn miejscowych.

Lekkoatletyczne mistrzostwa Zw. Rob. Stow. Sportowych nie przyniosły nam rewelacyjnych wyników a na domiar złego były fatalnie zorganizowane. Jedynie na uwagę zasługują wyniki reprezentantki Polski Mitan z Krakowa, która w biegu na 200 m miała czas 26,8.

Walasiewiczówna po powrocie z Oslo wpadła na jeden dzień do Warszawy a później przyjechała do Łodzi. Przygotowuje się ona do mistrzostw Polski w Krakowie, które rozpoczną się 7 bm.

Na terenie całej Polski rozpoczęły się w poszczególnych okręgach drużynowe mistrzostwa. Zakończone one zostaną w połowie października z tym, że później rozpoczną się mistrzostwa Polski.

Na Śląsku odbył się mecz międzyokręgowy w boksie Warszawa—Śląsk zakończony zwycięstwem Warszawy 9:7. Walczył między innymi Kolczyński który pokonał Nowarę, a Czortek wygrał ze Sztolcem.

W Łodzi odbyły się pierwsze powojenne mistrzostwa zapaśnicze Polski. Tytuły mistrzów w poszczególnych konkurencjach zdobyli: Kozerski — Warszawa, Bajorek — Kraków, Gołaś — Śląsk, Rejniak — Warszawa, Kulesza — Łódź, Marcok — Śląsk i Bednarek — Łódź.

W Oslo dokonano wyboru prezesa IAAF. N czele Międzynarodowej Federacji Lekkoatletyki stanął młody lord angielski — były mistrz w biegach przez płotki — Bargley.

Zawodniczki polskie w drodze powrotnej z Oslo





ZŁODZIEJ

BAJKA LUDOWA Z KAZAKSTANU

Było to dawno. Pewnemu biedakowi zawaliła się stara chałupa, postanowił więc zbudować sobie nowy dom. Budowa była już na ukończeniu — pozostawało pokryć ją tylko dachem, lecz biedakowi zabrakło pieniędzy. Dom bez dachu — to nie dom. Ale cóż robić? Biedak naścielił u góry plecionych z sitowia mat, przysypał je ziemią i zwolnił majstra, który mu pomagał przy budowie.

„Jak mnie stać będzie, zawsze sam łatwo dach dorobię" — uspokajał się i zamieszkał w niedobudowanym domu.

Wkrótce potem przechodził tamtędy plądrujący w tym mieście złodziej. Zauważył on nowy budynek i zaraz pomyślał: „Biedak ten widocznie się zbogacił, że zbudował sobie nowy dom. Muszę się do niego zabrać".

Upatrzył złodziej za dnia miejsce, z którego można się było łatwo dostać na dach, a stamtąd na podwórze. W nocy wrócił, wlazł na dach, ale nie zdążył zrobić kilku kroków, gdy przysypane ziemią maty rozdarły się pod jego ciężarem, i złodziej runął w dół do mieszkania. Upadł wprost na śpiącego biedaka. Biedak tak się zląkł, że nie przeszkodził nawet złodziejowi szperać w swym mieszkaniu. Nie usiłował też go złapać.

A złodziej, nawiedziwszy biedaka, wściekły, że nic w jego domu nie znalazł, poszedł zaraz na skargę do padyszacha.

— Kim jesteś i na kogo się skarżysz? — zapytał padyszach.

Złodziej nisko się pokłonił i rzekł:

— Taksyrze! Tej nocy chciałem okraść jeden dom. Wlazłem na jego dach, ale zamiast dachu leżały maty. A że maty się rozdarły, wpadłem do wnętrza i omal nie złamałem nogi. Proszę cię o ukaranie właściciela domu za zrobienie złego dachu.

Padyszach kazał wezwać właściciela domu. Gdy ten przyszedł, zapytał go surowo:

— Czy to prawda, że człowiek ten nocą spadł przez dach do twego mieszkania?

— Prawda, taksyrze, — odrzekł biedak: — Szczęście, że spadł na mnie, inaczej bowiem złamałby nogę.

— Ano, skoro to prawda, powieście go! — rozkazał padyszach

Biedak jął błagać:

— Taksyrze, jam nie zawinił! Dach zaścielał majster, to on zrobił złe pokrycie.

— W takim razie należy zwolnić właściciela domu, a powiesić majstra, — orzekł padyszach.

Jassauli prędko udali się po majstra. Gdy go przywiedli i chcieli oddać już w ręce katów, majster dowiedziawszy się o co chodzi, jął krzyczeć:

— Mam probę do padyszacha!

— Czego chcesz, mów — zezwolił padyszach.

— Taksyrze, — rzekł majster — Jam nie zawinił! To winien rzemieślnik, który plótł maty. Splótł je cienko i rzadko. Ja zaś tylko pokryłem nimi dach. Jeśliby maty były mocne i trwałe, nie podarłyby się nawet wówczas, gdyby chodził po nich człowiek.

Padyszach zwolnił majstra, a rozkazał odnaleźć i przyprowadzić do siebie rzemieślnika, który plótł maty.

— Powiesić go! — zawołał padyszach. — Całe zło w tym, że maty były źle splecione.

— Taksyrze, mogę rzec słowo? — zapytał zrozpaczony rzemieślnik. Zawsze plotłem bardzo mocne maty. Ale ostatnio robota mi idzie o wiele gorzej, a to z następującego powodu. Sąsiad mój od niedawna ma namiętność do gołębi. Hoduje je tylko po to, aby wypuszczać na swobodę. Kiedy gołębie krążą po niebie, spoglądam na nie z upodobaniem. Ale robota na tym cierpi, bo plotę rzadką, nietrwałą matę. Wybacz mi ten grzech!

Padyszach zwolnił rzemieślnika, wezwał natomiast miłośnika gołębi i kazał go powiesić.

Ten padł na kolana przed padyszachem i powiedział:

— Taksyrze! Czy jest w tym coś złego, że lubię wypuszczać gołębie na swobodę i przyglądać się, jak fruwają? Chyba to nie grzech! Co komu po tym, że mnie stracisz! Zamiast biednego niewinnego człowieka, lepiej stracić złodzieja. Spokojniej by się żyło mieszkańcom twej stolicy!

— Prawda — zgodził się padyszach. Wszystkiemu winien właściwie złodziej. Słusznie rzekłeś! Odnajdźcie złodzieja i powieście go! — rozkazał.

Jasauli znaleźli złodzieja i poprowadzili na szubienicę. Ale powiesić go nie zdołano, gdyż szubienica była niska, a złodziej — potężnym chłopem. Gdy zarzucono nań pętlę i podciągnięto do góry, nogi jego dotykały ziemi.

Kaci poszli do padyszacha i donieśli:

— Taksyrze, złodziej jest zbyt wysoki, nogi jego dotykają ziemi i w żaden sposób nie można go powiesić. Co począć?

Padyszach oburzył się:

— Z takim głupstwem do mnie się zwracacie! Jeśli złodziej ma za długie nogi i nie można go powiesić, czy nie możecie udać się na targowisko i znaleźć człowieka wzrostu niższego?

Zaledwie kaci wyszli na ulicę, zobaczyli niziutkiego człowieka, niosącego na plecach ciężki wór.

— Ten jest akurat takiego wzrostu, że będzie go można łatwo powiesić na szubienicy — orzekli kaci.

Złapali kaci niziutkiego człowieka i powiedli na stracenie. Ten jął błagać:

— Zlitujcie się! Com zawinił? Za co chcecie mnie powiesić?

A że akurat padyszach wyszedł z pałacu, aby być obecnym przy kaźni, niziołek padł przed nim na kolana i zawołał ze łzami w głosie:

— Mam prośbę do padyszacha!

— Mów, o co ci chodzi, — łaskawie zezwolił padyszach.

— Taksyrze, — błagał skazaniec. Zawinił wysoki, a ty stracić chcesz niewinnego biedaka! Wszak to niesprawiedliwe! Jeśli złodziej jest zbyt wysoki, rozkaż spod szubienicy wykopać trochę ziemi.

Padyszach pomyślał, uderzył się w czoło i rzekł:

— I to racja! Dobrze mówi. Puśćcie go, a powieście złodzieja, wykopując spod jego nóg, ile potrzeba, ziemi.

Kaci znów przywiedli złodzieja i spod szubienicy zaczęli wykopywać ziemię.

— Prędzej, prędzej! Nie zwlekajcie! Szybciej mnie powieście! — przynaglał katów złodziej.

— Co ci tak pilno? — zdziwił się padyszach.

— Taksyrze — odpowiedział złodziej. W tej chwili zmarł padyszach w raju. Im prędzej będę stracony, tym szybciej dostanę się do raju, a dopóki nikt jeszcze nie zdążył zająć jego miejsca, sam zostanę padyszachem raju. Przed śmiercią bowiem orzekł rajski padyszach: „Kto pierwszy po mojej śmierci trafi do raju, tego należy zamianować na moje miejsce padyszachem".

Padyszacha wzięła zazdrość — to nie żarty być padyszachem w raju! „A niech-że ja sam będę nim na tamtym świecie!" pomyślał i rozkazał:

— Uwolnijcie złodzieja, a powieście mnie samego!

„Rozkaz padyszacha musi być wykonany". Kaci uwolnili złodzieja i zamiast niego powiesili padyszacha.

Opracowała
Eleonora Słobodnikowa

WYCHOWANIE LUDZI DOROSŁYCH

Musimy zerwać z utartym przekonaniem, jakoby wychowywać należało jedynie dzieci i młodzież.

Wychowanie, jak samo życie społeczne, którego jest jednym z przejawów, stanowi proces ciągły. Dla jednostki może mieć różne stopnie intensywności, ale trwa stale, a kończy się ze śmiercią człowieka. Amerykański pedagog C. H. Henderson mówi, że „zasadniczy proces wychowania nie może się zatrzymać: czy chcemy, czy nie chcemy, postępuje dalej aż do ostatniej fazy, aż do śmierci". Podobne przekonanie wyraził filozof amerykański, John Dewey.

Pogląd, ograniczający wychowanie do wieku niedojrzałego, pociąga za sobą fatalne następstwa. Skracając w ten sposób okres kształcenia się i rozwijania człowieka, chcemy w stosunkowo krótkim czasie nauczyć go wszystkiego, co mu w życiu może być potrzebne, i w gruncie rzeczy niczego porządnie go nauczyć nie możemy. Zapominamy o tej prawdzie życiowej, że „Kraków nie od razu zbudowano". Człowiek musi zdobywać i rozszerzać swe wiadomości przez całe życie. Tymczasem zaś zaniedbujemy nie tylko kształcenie tego, co w człowieku najcenniejsze, ale nawet wykoślawiamy go umysłowo i moralnie nadmiernymi wymaganiami w dziedzinie zdobywania wiadomości naukowych w wieku szkolnym. Braki w wiadomościach każdy inteligentny człowiek zdoła zawsze w odpowiedniej chwili uzupełnić. Ale bystrości umysłowej, zdolności do poprawnego rozumowania, zalet charakteru tak łatwo w życiu późnieszym nie nabędziemy, zwłaszcza, jeśli w dzieciństwie rozwój pod tym względem był zahamowany lub spaczony. Wiele się kryje mądrości w przysłowiu: „czym skorupka za młodu nasiaknie, tym na starość trąci", tylko, że prawda ta nie do wiedzy się odnosi. Na podstawie zwykłej obserwacji można stwierdzić, że wiedzę zdobywamy o wiele łatwiej, z mniejszą stratą energii w wieku młodzieńczym i dojrzałym, natomiast wpływom moralnym najłatwiej ulegamy w dzieciństwie. Nie znaczy to jednak, by człowiek dorosły był niepodatny na oddziaływanie moralne.

Chcemy tylko podkreślić, że wychowanie człowieka trwa przez całe jego życie i że związane jest ściśle z fazami jego rozwoju. Ale zadajmy sobie pytanie, czy wielu ludzi chce i umie zorganizować swe wychowanie w wieku dojrzałym. Wysoki stopień rozwoju osobowości, z którym wiąże się stały i świadomy proces samowychowawczy, jest udziałem nielicznych jednostek. Znakomita większość dorosłych ludzi z oburzeniem nawet odrzuciłaby myśl o konieczności dalszego wychowywania się. Dla nich wychowanie łączy się tylko z wiekiem szkolnym. Co najwyżej przeciętny człowiek dorosły zgadza się na konieczność uzupełnienia swej wiedzy fachowej, potrzebnej do jego pracy zawodowej. Zazwyczaj jednak czyni to nie z wewnętrznej potrzeby ale pod naciskiem okoliczności zewnętrznych, takich jak np. konkurencja zawodowa, wzrost wymagań, postęp techniczny itp...

Tymczasem należałoby stwierdzić, że planowe wychowanie ludzi dorosłych jest dla społeczeństwa zagadnieniem daleko ważniejszym niż wychowanie dzieci i młodzieży. Gdyby dziecko wzrastało w społeczeństwie ludzi moralnych, o tęgich charakteraeh i wysokiej inteligencji, siłą rzeczy otrzymałoby ono jak najlepsze wychowanie. Pływać uczymy się w wodzie, a żyć przez udział w życiu społecznym.

Społeczeństwo zdemoralizowane, zmaterializowane, społeczeństwo bez wyższych ideałów, mimo największych wysiłków i najbardziej nowocześnie zorganizowanego szkolnictwa nie wychowa zdrowego moralnie pokolenia. Odrodzenie społeczeństwa trzeba zaczynać od pokoleń dojrzałych, nie od młodzieży, która najczęściej kroczy jedynie śladami swych ojców i braci. — „Kto z kim przestaje, takim się staje".

Zły chłopak jest tylko utrapieniem rodziców, może i szkoły, ale jego postępowanie nie ma jeszcze szerszego znaczenia; przy tym są zawsze nadzieje na poprawę dzięki pracy wychowawczej. Zły człowiek dorosły jest nieszczęściem społecznym. On bierze czynny udział w życiu społeczeństwa i działa, a czyny jego przynoszą ogółowi nieobliczalne szkody. Czy wolno społeczeństwu w takich wypadkach jako jedyny środek zapobiegawczy stosować kodeks karny? A ileż czynów szkodliwych i niemoralnych w gruncie rzeczy kodeksem karnym jest nieobjętych! Czy niski egoizm albo brak wszelkiego idealizmu są sądownie karane? Ktoś powie, że istnieje jeszcze opinia publiczna, która jest potężniejszym środkiem oddziaływania niż kodeks karny. Jeśli tak jest, to w ten sposób dajemy wyraz przekonaniu, że i człowiek dorosły jest podatny na wpływy moralne, a tym samym, że i on jest przedmiotem wychowania. Warto przy tym zaznaczyć, że człowiek dorosły jest bardziej wrażliwy na opinię publiczną niż dziecko, gdyż siłą rzeczy posiada wyższy stopień samowiedzy osobistej.

Z powyższych rozważań wynikają dwa oczywiste wnioski: 1) Ludzi dorosłych można i trzeba wychowywać. 2) Dla społeczeństwa ważniejsza jest sprawa organizacji wychowania pokoleń dojrzałych niż niedojrzałych.

Kazimierz Wyrzykowski

Kronika kulturalna

NIE TAK DAWNO czytaliśmy w „Przekroju" korespondencję ze Szwecji, a w niej fragment, znamienny dla umysłowości korespondenta i legionu podobnych mu polskich „demokratów". We fragmencie była mowa o tym, że król Gustaw V ma prywatny telefon. którego numer podany jest w książce telefonicznej, i pod tym numerem każdy obywatel może do króla zadzwonić. „Ależ poczciwe wasze królisko musi mieć z tym telefonem kłopoty! — zawołał ubawiony korespondent do swego informatora Szweda: — toż mu robią kawały!" — Szwed otworzył szeroko oczy i nie zrozumiał, o co chodzi. Albowiem w demokratycznej Szwecji telefon królewski jest w wysokim poważaniu, i niepodobna sobie wyobrazić, aby ktoś nadużył go tak, jak się „korzysta" z telefonów po naszych kawiarniach. Szwed i Polak — to jak gdyby dwa bieguny. Być może, taka sama różnica zachodzi niekiedy pomiędzy Polakiem i Anglikiem w ujęciu zagadnień demokratycznych. Oto p. Brevis w „Dzienniku Ludowym" (Nr 339) opowiada z fantazją o swej wyprawie samochodowej z Londynu do Windsoru, gdzie chciał zobaczyć śmiesznego człowieka „w złotej fasce na głowie i w białym płaszczu z czarnymi ogonami", czyli Jerzego VI. Prawdę mówiąc, p. Brevis powinien mieć więcej szacunku dla głowy państwa, zaprzyjaźnionego z nami — mniej więcej tyle, ile — przypuśćmy — republikanin żądałby go dla swego prezydenta. Cóż począć? Demokracja — to kultura. Wszelako, nie zamierzamy ujmować się za poszkodowanym na honorze monarchą. Interesuje nas przebieg wyprawy p. Brevisa. Opowiada on, że dał gazu na sto dwa, niby po ulicach naszej Łodzi, co przyszło mu z tym większą łatwością, że tam, brachu, autostradki nie to, co u nas: lustro, jak pragnę Boga. Może i sam był pod gazem. Dość, że Anglicy otwierali gęby na tę kawalerską jazdę. Aliści — stop! Dwóch policemanów — „chłopców jak na pokaz po 190 cm wzrostu — i po chwili: „ostrzeżenia, mandat, kara pieniężna". Spokorniały p. Brevis „przykładnie rusza naprzód, zachowując przepisowe tempo jazdy". I poco było kompromitować siebie i Polskę? Zebyśmy potem narzekali, że nas na Zachodzie nie szanują, że nas lekceważą?

St. Łatka

WARSZAWA SZTOKHOLM-PARYŻ

(Ciąg dalszy)



J. Brzechwa z żoną i St. Dygat przed Akademią Muzyczną w Sztokholmie

2. MIASTO DOBROBYTU

„Drotttning Victoria" sunęła równo, jak po stole. Mimo to, aluzje na temat pływających min podrażniły nieco nerwowość Dygata i gdy rozległ się dźwięk dzwonu, wzywający na śniadanie, znakomity autor „Jeziora Bodeńskiego" z przyzwyczajenia zbiegł na dół w poszukiwaniu schronu. Po pewnym jednak czasie oswoiliśmy się z nową sytuacją i udaliśmy się do sali restauracyjnej. Na ścianie wisiał napis, z którego wywnioskowaliśmy że śniadanie kosztuje od 10—12 koron. Z uwagi na to, że korona równa się 25 zł. uznaliśmy, że ceny są wysokie, ale nie bardzo odbiegające od naszych. Dopiero gdy przyszło do płacenia rachunku, który opiewał po półtory korony od osoby, nieporozumienie się wyjaśniło: cyfry na ścianie oznaczały godziny posiłków. Trudno, szwedzki nie jest językiem łatwym, zwłaszcza dla tych którzy go nie znają.

Niezmiernie piękna pogoda, cisza przerywana jedynie miarowym terkotem motoru, czyste niebo, trzepotliwa eskorta mew, wszystko to działało kojąco na nerwy i wróżyło błogi odpoczynek.

Nazajutrz w Trelleborgu wagon nasz opuścił prom i został doczepiony do elektrycznego pociągu. Szwedzki lekarz mimochodem zajrzał nam do gardła, szwedzki celnik do przedziału, a po chwili już pędziliśmy z przedwojenną szybkością przez przedwojenny kraj. Domy i miasteczka, nieskazitelnie schludne i czyste, jak gdyby świeżo wyszorowane mydłem i szczotką, migały przed oknami. Wśród pasażerów pociągu trudno byłoby się doszukać różnic socjalnych, tak jak niedostrzegalna jest różnica pomiędzy wagonami drugiej i trzeciej klasy. I tu i tam — miękkie obicia, wygoda i czystość. Już pierwsze zetknięcie ze Szwecją obudziło u nas przyjemne uczucia i tego błogiego nastroju nie zdołał zakłócić kolejarz, pogwizdujący... piosenkę „o mojej Warszawie".

Po południu, po czterdziestu paru godzinach najwygodniejszej w świecie podróży, wysiedliśmy wreszcie na dworcu w Sztokholmie.

Oczekiwał nas min. Adam Ostrowski, poseł R.P., co niezmiernie nam zaimponowało. Dygat, z właściwym sobie sceptycyzmem, wyraził przekonanie, iż zaszczyt ten spotkał nas jedynie dlatego, że tym samym pociągiem przyjechała z kraju pomocnica domowa państwa Ostrowskich. Ja natomiast, jako urodzony optymista, uważałem, iż był to raczej akt kurtuazji ze strony kolegi po piórze, gdyż jak wiadomo min. Ostrowski jest autorem doskonałej pracy o Kołłątaju. Przypuszczenia moje potwierdziło miłe przyjęcie jakiego doznaliśmy tegoż jeszcze wieczoru w domu pp. Ostrowskich, a następnie w biurach Poselstwa. Postanowiliśmy nawet zrobić wspólne zdjęcie dla „Tygodnia", ale naprzód nie było fotografa, a potem nie było czasu.

Sztokholm robił wrażenie wyludnionego miasta. Wszyscy posiadacze rowerów ,a więc chyba 98 proc. mieszkańców stolicy, nie mówiąc o właścicielach samochodów, wyjechali w pojedynkę, na tandemach i na podwójnych rowerach rodzinnych, połączonych między sobą koszyczkiem dla dziecka — do licznych okolic podmiejskich, kąpielisk i letnisk. My, którzy przywykliśmy słyszeć, że rowerzysta jest plagą naszych dróg, przyglądaliśmy się codzień z ciekawością tym strumieniom i rzekom cyklistów, zapełniających ulice i szosy, wciskających się w każdą szczelinę pomiędzy pojazdami i zajeżdżających drogę automobilistom. Jak niegdyś Karol XII z koniem, tak dzisiejszy Szwed zrośnięty jest z rowerem. Na każdym kroku, wprost na chodnikach, widnieją postoje rowerów i rowery te, mimo braku dozoru, nigdy, podobno, nie giną. Cykliści tamują, wprawdzie, ruch, ale nie powodują wypadków i nikt ich nie klnie.

Tego dnia o którym mowa, wszyscy wylegli na miasto, gdyż była to niedziela, a ponadto wigilia Swięta Lata, obchodzonego bardzo uroczyście. Zabawy ludowe, muzyka i tańce trwały przez całą noc świętojańską. Nazajutrz wielki ruch w mieście zamarł. Sklepy i lokale zamknięte były na wszystkie spusty i z trudem tego dnia dostaliśmy w jednym z nich obiad. Niemało byliśmy zdziwieni, że w tym bogatym kraju istnieją ograniczenia, ujęte w system kartkowy. Musieliśmy wycinać kupony na chleb, tłuszcz i mięso. Słynny szwedzki stół, istny raj dla amatorów przystawek, — przestał istnieć. Nocnych lokali prawie że nie ma a dancingi odbywają się tylko w pewne dni. Szwedzi są pogodni, ale nieweseli i niedzielny ludek najchętniej otacza usadowioną w parku orkiestrę i wyładowuje się w chóralnym śpiewie. Nic też dziwnego, że temperament naszych rodaków porywa nadobne szwedki. Słyszeliśmy o tym wiele podczas krótkiego pobytu w Sztokholmie. Spożycie alkoholu jest również ograniczone: jeden kieliszek — i koniec. A przy tym żadne namowy i umizgi nie są w stanie przełamać w szwedzkim kelnerze jego poczucia legalizmu. Głęboko zakorzeniona uczciwość i nawyk do poszanowania przepisów prawnych, wyklucza istnienie t. zw. czarnego rynku, który we Francji święci takie triumfy.

Szczęśliwy kraj, szczęśliwe miasto mlekiem i miodem płynące, miasto oszczędzone przez wojnę, miasto dobrobytu!

Więc dlaczegóż te ograniczenia?

Mój przyjaciel, pewien kompozytor szwedzki, który już po wojnie przysłał mi paczkę złożoną ze szpulki nici, kilku guzików, mydełka, sacharyny, zapałek i sproszkowanego mleka, tłumaczył ograniczenia koniecznością wspomagania głodnej Europy.

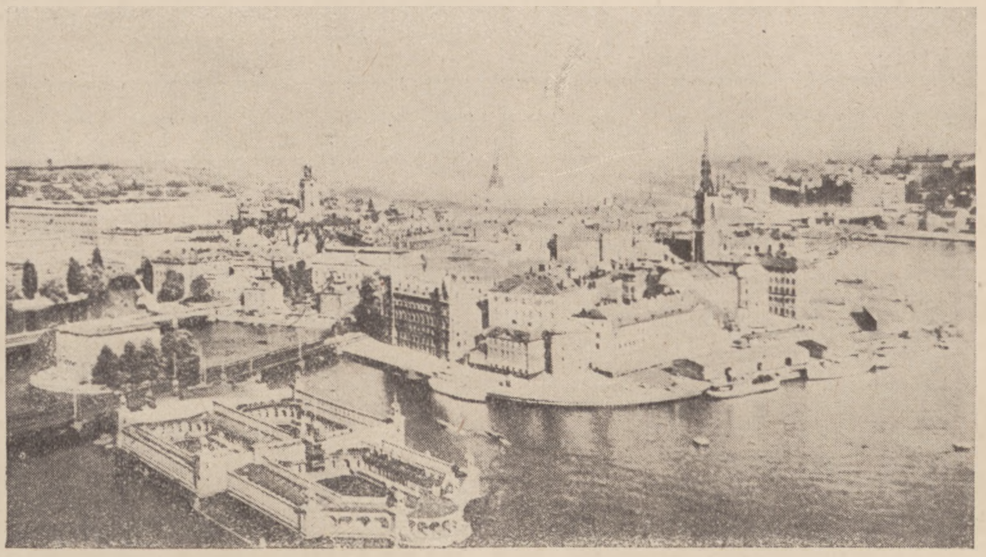
— I te paczki, rozumie pan, jakich one wymagają od nas wyrzeczeń... Moja żona sama wszystko to kupowała...

A chociaż za ową paczkę dziękowałem już w obszernym liście, musiałem jeszcze kilka razy w ciągu wieczora ponawiać podziękowania, gdyż mój towarzysz raz po raz powracał do tego tematu.

Chodziliśmy po tym mieście wśród uprzejmych ludzi, którym spokojne nerwy pozwalają spokojnie na wszystko reagować, a niczym niezakłócone życie — spokojnie i normalnie żyć. Wrzynające się w serce miasta zatoki chłodzą podczas upałów, a liczne parki, pełne zieleni i drzew, pielęgnują płuca mieszkańców. W niezniszczonych domach, w nienaruszonych mieszkaniach pomnażają Szwedzi swój dobrobyt i jedyną ich troską stanowi węgiel. Układają na ulicach sterty brzozowego drzewa i tęsknie spoglądają w kierunku Gdyni. Ach, ten węgiel! Jemu zawdzięczamy piękną podróż na trasie Warszawa—Sztokholm, on jest w pewnej mierze motorem życzliwości i sympatii, jaką Szwedzi darzą Polaków.

d. c. n.

Jan Brzechwa



Widok ogólny Sztokholmu





Zagadka pierwsza

WIELKI KONKURS FOTOGRAFICZNY

Zgodnie z zapowiedzią w Nr 8 „Tygodnia" — zamieszczać będziemy co tydzień jedną zagadkę fotograficzną. Rozwiązanie polegać będzie na odgadnięciu treści ilustracji oraz wypełnieniu odpowiedniego kuponu. Kupony wszystkie razem przesłać należy najpóźniej do dnia 17 grudnia 1946 r. do redakcji „Tygodnia". Za prawidłowe rozwiązanie każdej z zagadek rozwiązujący otrzymuje pewną ilość punktów. Zwycięży w konkursie posiadacz największej ilości punktów. W wypadku jednakowej ilości punktów o rozdziale zadecyduje losowanie. Oto wykaz nagród:

1 nagroda — 3000 zł.
2 nagrody po 1000 zł.
5 nagród po 500 zł.
10 nagród po 250 zł.
32 nagrody — prenumerata kwartalna „Tygodnia".

Wyniki konkursu podamy w numerze 25 z datą 29. 12. 1946 r. Polecamy zatem uwadze czytelników pierwszą z 15 zagadek, umieszczoną w dzisiejszym numerze.

ZAGADKA NR 1
(za rozwiązanie 2 punkty)

W promieniach zachodzącego słońca kąpią się szczyty dwu imponujących wież, które nadają miastu jego charakterystyczną sylwetkę. Z ławki u podnóża schodów rozciąga się piękny i niecodzienny widok. Każdy z nas ma możność podziwiać z tego miejsca rozległy krajobraz, wypoczywając po marszu pod górę. Nie trzeba w tym celu paszportu zagranicznego. Wystarczy kupić bilet kolejowy do. . . . . . No, dokąd? Jakie miasto przedstawia nasza fotografia?

KUPON 1

Zagadka Nr 1 — 2 punkty

....
nazwisko i imię

....

....
adres

....
rozwiązanie

Wypełnić czytelnie, wyciąć i odesłać.

Czy wiecie, że...

Montaigne powiedział: „Nie chciałbym być kobietą, bo będąc nią, nie mógłbym kobiety kochać".

Pani Montagu zaś powiedziała:

„Jeżeli nie chciałabym być mężczyzną, to tylko dlatego, że musiałabym się z kobietą ożenić". Momus

Moda

Kostium z białej wełny, fason angielski z krótkimi rękawami, do długich rękawiczek.

Rys. Nr 2. Jesienny kapelusz filcowy jasny, noszony na tyle głowy.

Rys. Nr 3. Kapelusz z czarnego filcu w kształcie fantazyjnego beretu, przybrany puszystym pękiem piórek, które znów stają się modne.

(zdjęcie Nr 1 — British Photo)

SKLEROZA

FONETYKA

Że pisownia nasza w tej postaci, jaką jej nadała przed wojną reforma Nitscha, jest pod niejednym względem niedorzeczna i wymaga zasadniczych poprawek — przyzna to zapewne każdy. Nie można jednak w reformach iść za daleko. P. Stanisław Gałązka w tygodniku „Wieś“ (Nr 26/54) wysuwa projekt pisowni fonetycznej. Pisze:

„Dlaczego używamy ch i h, ó i u, ż i rz, kiedy te litery oznaczają dźwięki mniej więcej te same? Pewnie, że różnica fonetyczna pomiędzy nimi występuje, lecz wobec problematu, że każdy młody obywatel musi poznać dokładnie sztukę pisania i czytania, bo to jest odskocznia do pracy nad umasowieniem kultury, te subtelności dźwiękowe powinny odpaść. Ortografia dotychczasowa ciągle dokucza, bruździ, opóźnia proces przyswajania sobie pisania, a często go wprost uniemożliwia... Czy nie mam racji?“

Zdaje się, że p. Gałonzka (fonetycznie) nie we wszystkim ma rację. Po pierwsze, istnieją ortografie znacznie trudniejsze (np. francuska), nieskończenie trudniejsze (np. angielska) od polskiej, a jednak nie uniemożliwiają one procesu pisania — przeciwnie, możnaby powiedzieć, że na zachodzie Europy odsetek analfabetów jest o wiele mniejszy niż w Polsce. Po drugie, umasowienie kultury nie powinno polegać na obniżaniu jej, lecz na podnoszeniu. Równanie w górę, nie równanie w dół — na takim fundamencie musi się rozwijać kultura. Po trzecie, „subtelności dźwiękowe“, których ważności p. Gałązka nie zaprzecza, powinny być ujęte w stałą, niewzruszoną regułę, gdyby bowiem „odpadły“, zapanowałaby w pisowni całkowita dowolność i chaos. Warszawiaczek mógłby sobie pisać: „daj mi renkie i choć na ulice Marszałkoskie“ (bo on tak słyszy), a w Poznańskim np. z nazwiska p. Gałązki zrobionoby nietylko Gałonske, ale nawet Ganonske, bo tam dźwięk „ł“ zbliżony jest do „no“. I nic by na tę odskocznię nie można było powiedzieć, albowiem subtelności dźwiękowe powinny odpaść.

Rozwiązanie rebusu
umieszczonego w Nr 5 „Tygodnia“

Wiele widzi, kto bystro patrzy.

Za prawidłowe rozwiązanie drogą losowania otrzymali nagrody w postaci książk' Strumph-Wojtkiewicza p. t. „Sikorski i jego żołnierze“:

Gromada świetlicowa przy Gminnej Szkole Rolniczej w Łęczycach pow. Lębork, woj. Gdańskie. P. Stępińska Władysława — Warszawa ul. Grochowska 98 m. 9. P. B. Staniewicz — Łódź ul. Narutowicza 29 m. 3, oraz nagrodę pocieszenia: P. Zbigniew Żółtowski — Poznań ul. Małopolska 12 za wiersz nadesłany wraz z rozwiązaniem.

WARUNKI KONKURSU

W Nr. 6 ogłosiliśmy konkurs na rebusy, które podawane będą w 10 kolejnych numerach.

Dziś zamieszczamy 4-ty z kolei rebus.

Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej.

Jako nagrody Redakcja przeznacza:

1 nagrodę — 1500 zł.

1 nagrodę — 1000 zł.

3 nagrody po 500 zł.

10 nagród — prenumerata kwartalna „Tygodnia“.

W razie równej ilości zdobytych punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nadsyłać należy po zakończeniu konkursu do dnia 4 listopada b. r. do redakcji „Tydzień“, Łódź, ulica Pomorska 37/1.

Za rozwiązanie rebusu w Nr 9 przyzn..ne będą 4 punkty.



Anegdoty historyczne

DOWCIPNA PROTEKCJA

Król Ludwik Filip (1830—1848) lubił odwiedzać w Wersalu salę „Gry w piłkę“, która służyła jako pracownia malarska znakomitemu bataliście Horacemu Vernetowi (1789-1863). Pewnego dnia, wchodząc tam, król zauważył, że artysta zabiera się do zamalowania krzyża, widniejącego na piersi jednego z portretowanych przezeń oficerów.

— Co pan tam robisz, drogi Horacy? — zapytał król.

— Ach, najjaśniejszy panie! Omyliłem się. Myślałem, że ten waleczny żołnierz ma legię honorową. Tymczasem dowiedziałem się, że jej nie ma, więc muszę krzyż zamazać.

— Broń Boże! — zawołał król, który wysoko cenił wielkiego artystę: — nie rób tego, nie psuj swego dzieła!

I zaprotegowany w oryginalny sposób przez Verneta oficer tegoż dnia został odznaczony legią honorową.

WALKI WIELBŁĄDÓW



British Photo

Narodową rozrywką Hiszpanów są walki byków, w niektórych innych krajach emocje stanowią walki kogutów. W Turcji natomiast ludność pasjonuje się zapasami wielbłądów i widowiska te ściągają co czwartek tłumy publiczności.

Na arenę wprowadzają dwa suto przybrane samce-wielbłądy, które ustawione nosami na przeciw siebie spoglądają apatycznie dookoła nie zdradzając najmniejszej wojowniczej myśli. Od czegóż jednak przemyślność ludzka? Otóż na arenę wchodzi prowadzona przez dwóch dozorców pięknie przystrojona w bogate nakrycia i dzwoniąca drażniąco dzwoneczkami ponętna wielbłądzica. Przechodzi kołyszącym się krokiem między dwoma rywalami. U samców widać zainteresowanie i poruszenie. Wielbłądzica przechodzi między nimi raz i drugi, po czym zostaje odprowadzona wgłąb areny. Wreszcie jeden wielbłąd spluwa z obrzydzeniem i nienawiścią na towarzysza, wymierzając mu jednocześnie silny cios przednią nogą. Rozpoczyna się walka. Długa szyja, zakończona młotkowatym łbem oraz przednie kopyta służą jako narzędzia do zaciekłej walki. Za chwilę jeden zapaśnik pada na piasek a zwycięzca zaczyna się pastwić nad ofiarą. Piasek areny obficie zlewa krew. Najczęściej zwycięzca nie syci się długo chwałą, padając sam z wyczerpania. Widzowie są ucieszeni i rozradowani udanym widowiskiem.

KONKURS „TYGODNIA“ NA REBUSY





NOWY ROK SZKOLNY

10 września 1944 r. na placu Litewskim w Lublinie odbyła się inauguracja pierwszego roku szkolnego w Odrodzonej Polsce. Ciekawe to były czasy: w Warszawie po oddaniu Starówki dogasało powstanie, o czterdzieści kilometrów od pl. Litewskiego waliły niemieckie armaty, a pierwsze święto oświaty obchodzone, mimo dudnienia dział niedalekiego frontu, było dowodem, że Polska jest. Skromne to było święto — pierwszego roku szkolnego na pierwszym wolnym skrawku naszej ziemi. Brak było książek i nauczycieli, gmachy szkolne leżały w gruzach, a zeszyt czy ołówek były niemal na wagę złota. Jednak znaleźli się ludzie, którzy zaczęli. Do pięknych kart z okresu okupacji, nauczycielstwo polskie dorzuciło nowe.

Daleko od tych czasów jesteśmy. Ale nauczycielowi nie samo tylko uznanie się należy. Nie jest tajemnicą, że nauczycielstwo uposażone jest źle. Należy mu się więc przede wszystkim szybka, realna pomoc. W niego to przecie wymierzona jest mądra maksyma staszycowska, że „takie będą rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie“.

Jest jeszcze kwestia podręczników. Tak, podręczników jest mało. Brak ich nawet tam, gdzie są najniezbędniejsze: w niższych oddziałach szkoły powszechnej. Przez dwa pierwsze lata szkolne wydaliśmy ich w ramach Państw. Zakładów Wydawnictw Szkolnych (do dn. 30. IV. 1946) zaledwie 65 o łącznym nakładzie 9 milionów egzemplarzy. Nie łagodzi tego braku fakt, że książki nowowydane są doprawdy tanie (od trzech(!) do 75 złotych). Trzeba się liczyć z tym, że nie jedna rozżalona matka, napróżno szukająca książki dla syna, wypomni fakt wydawania grafomańskich powieści, brukowych dzienników, czy masy ulotek i plakatów. W pojęciu takiej matki książka szkolna powinna być pierwsza.

O tych kłopotach nie myślą jednak uczniowie. Dla nich wrzesień, to koniec beztroskiej swobody, a początek pracy nad sobą.

j pł.

ANDRUS

Byłem dotąd grzecznym poetą,
Eleganckie pisałem słówka,
Ale widzę dziś, że to nie to,
Że to dobre jest dla półgłówka.
Dzisiaj pisać trzeba inaczei,
Mówić tak, jak andrus
z Powiśla,
Ten najlepiej szwabom sobaczy,
Ten najlepiej szkopom wymyśla.
Na wprost czołgu zuchwale
stanie,
Z bliska rąbnie flaszkę benzyny:
— Nie zniszczycie nas, podłe
dranie,
— Nie zgnębicie nas,
sk . . . . syny.

JAN BRZECHWA

W połowie sierpnia 1944 r. na Powiślu

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień“ ● Redaguje: zespół redakcyjny ● Redaktor naczelny przyjmuje w dni powszednie od 13 — 14-ej
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Pomorska 37 m. 1, tel. 14-906 ● Redakcja rękopisów nie zwraca ● Prenumerata miesięczna 30.— zł.
Konto P. K. O. Łódź VII Nr 4321 ● Druk: Zakłady Graficzne „Społem“ Łódź, ul. Andrzeja 63 ● D. 01820